

Cena 19 000 zł



Nr 2 (26) Lato 1994

ISSN 1232-9207

REUBEN SNAKE, JR. (Winnebago)

Być Indianinem

Być Indianinem to płacić 15 dolarów
za orle pióra, nawet gdy się nie ma
na jutrzejszy obiad.

Być Indianinem to być możliwie najlepszym
w tym, co się robi, ale nie konkurować
otwarcie ze swym druhem po to, aby siebie
wywyższyć, a jego upokorzyć.

Być Indianinem to mieć przynajmniej
jednego alkoholika w rodzinie.

Być Indianinem to mieć wokół siebie
przynajmniej tuzin misjonarzy różnych wyznań,
którzy próbują zbawić twoją pogańską duszę.

Być Indianinem to opuszczać pracę, jeśli się ją ma,
co najmniej dwa razy w miesiącu,
bo tak robi wielu twoich przyjaciół i krewnych.

Być Indianinem to żyć na kredyt
po ukończeniu 44 lat.

Być Indianinem to wierzyć, że Szary Wilk i Pełzający Wąż
to o wiele piękniejsze imiona
niż Smith, Jones, Brown czy Johnson.



Przez całe lato trwały mniejsze i większe spotkania polskich przyjaciół Indian. W drugiej połowie lipca nad rzeką Supraśl, niedaleko Białegostoku, odbył się XVIII zlot ludzi zainteresowanych Indianami (i jak zwykle: ludzi zainteresowanych ludźmi interesującymi się Indianami). Mówi się, że był to – pod wieloma względami – zlot rekordowy: najwięcej osób (ok. czterystu), najwięcej tipi (35 szt.), najwięcej chorych (prawie połowa), najwięcej wyrzucanych (26 osób) oraz najwięcej sklepów spożywczych (1), nie licząc tych bez koncesji.

Jak zwykle były tańce przy ognisku i zawody sportowe, gry i zabawy dla dzieci i dorosłych, szalas pary i spotkania stowarzyszeń. Ustalono, że następny XIX zlot odbędzie się na Pojezierzu Drawskim. Złotowy wampum przekazano został Markowi Długoszowi i Konradowi Konarzewskiemu, którzy zadeklarowali się przygotować zlot od strony artystycznej i nie tylko, oraz Wiesławowi Karnabalowi i Andrzejowi Wilowskiemu, którzy mają przygotować zlot od strony technicznej i nie tylko.

Mimo że do następnego zlotu pozostało jeszcze trochę czasu, warto się do niego dobrze przygotować. Proponujemy więc usiąść wygodnie i, ciesząc się wspomnieniami indiańskiego lata, przeczytać przygotowane przez nas artykuły.

Niedźwiedź



Ukazuje się: w marcu, czerwcu, wrześniu, i grudniu **Redaguje zespół:** Wiesław Karnabal (redaktor naczelny), Marek Maciołek i Marek Nowocień **Stale współpracują:** Roman Bala, Marek Cichomski, Wiesław Koleczek, Maciej Lewandowski, Aleksander Sudak i Mirosław Sulgostowski **Adres redakcji:** Dąbrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie **Wydawca:** TIPI s.c. ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo **Druk:** Zakład Usług Poligraficznych WI-MARK, Kalisz ul. Czeresińska 10

W numerze:

WRONY:

Jedyne wyjście, jakie nam zostało – walka Wron o przetrwanie w XIX wieku; błyskotliwy esej prof. Colina G. Callowaya

Lakocka Niewolnica – fragment opowieści Dobrej Tarczy, kobiety z plemienia Wron **Coup, czyli zaliczenie dotknięcia** – mity i rzeczywistość

Wronie cukierki – sztuka zdobienia włosów

AMERYKA POŁUDNIOWA:

II Kontynentalne Zgromadzenie Ludów, Narodów i Organizacji Tubylczych CONIC – deklaracja z Temoaya.

Mapuche a przemysł energetyczny

Misja – jeszcze raz Kościół a Indianie w artykule Waldemara Kuligowskiego

Ewangelizacja Indian w Kanadzie – wywiad z ks. Wojciechem Wojtkowiakiem, OMT

Wojna Czarnego Jastrzębia – komentarz Aleksandra Sudaka do artykułu Custer a Jr.

Good Morning Runners! – relacja Misia z Biegu Przyjaźni Narodów

Poezja **Normana H. Russella** (Cherokee)

Znani i nieznani – Indianie Moneton i Naród Neutralny

a także listy, książki i Zielone Brygady



Podziękowania:

Grzegorz Peplowski, Magdalena Łukasik, Dariusz Pohl, Jan Szturc, Joanna Mieszko, Aleksander Danyluk, Emilia Wójcik, Jacek Gładyszak.

Na okładce: wiza wilka

Colin G. Calloway

Jedyne wyjście, jakie nam zostało

Walka Wron o przetrwanie w XIX wieku

Pod koniec dziewiętnastowiecznych wojen o Wielkie Równiny, niektóre plemiona - Wrony, Szoszoni, Paunisi - walczyły po stronie Stanów Zjednoczonych przeciwko „buntowniczym” Siuksom, Czejenom i Arapahom. Pomimo zwiększania uwagi motywacjom Indian i wysiłków przekazania „indiańskiej strony zagadnienia”, wyjaśnienie tego zjawiska często pozostaje niepełne: „przyjaźnie nastawione plemiona” stanęły po stronie białych przeciw swym „odwiecznym wrogom”. Plemiona walczące wraz z białymi uważano za bezwolne pionki na szachownicy, a nawet za zdrajców własnej rasy. W przypadku Wron takie wyjaśnienie nie wystarcza.

W rzeczywistości byli narodem pochłoniętym wojną, walczącym o przetrwanie w bezładnym zagmatwanym świecie i otoczonego przez łupieżczych sąsiadów żądnych ich terenów. Przemyśle plemienia ze Stanami Zjednoczonymi było w pełni zrozumiałą strategią, pozwalającą przetrwać i wódz Wiele Dotknięć słusznie twierdził, że *było jedynym wyjściem, jakie nam zostało*. Dowodził on również, że Wrony nie byli pionkami w starciu między Amerykanami i Siuksami. Prowadzili swą własną grę i sojusz z białymi pozwolił im uniknąć zniszczenia z rąk wrogów.

Podania Wron mówią, że gdy Pierwszy Pracownik stworzył świat, dał Wronom mężne serca, umieścił ich w najpiękniejszym kraju i zapowiedział, że zawsze będą musieli bronić go przed wrogami. Wojny Wron z pewnością sięgały czasów odleglejszych niż okres zdobywania bogatej doliny Yellowstone, lecz po opanowaniu jej i południowych dopływów tej rzeki w XVIII wieku, byli w stanie wojny ze wszystkimi dookoła. Przez blisko sto lat żył w ciągłym oblężeniu, prowadząc rozproszonymi grupami wojnę podjazdową przeciwko liczny i potężny wrogom. Wojna stała się dosłownie sprawą życia i śmierci nie tylko poszczególnych wojowników, ale i całego społeczeństwa. Była - mówiąc słowami Roberta H. Lowie'ego - *nie sprawą klasy czy nawet płci męskiej, ale całej zbiorowości, od kołyski do mogiły*.

Europejski napór na tubylczą Amerykę Północną wyzwolił nowe siły, które wstrząsnęły Równinami. Konie i broń palna zrewolucjonizowały wojny toczone przez czerwono-skórych. Międzyplemienne współzawodnictwo o dostęp do europejskich towarów, nabywanych w handlu, powiększyło je i spolegowało. Starcia między plemionami traktowano już jako coś stałego a nie przypadkowego, zaś sama wojna i wyprawy po konie stały się nieodłączną częścią nowego ustroju gospodarczego, jaki wytworzył się na Równinach. Zrytualizowane pojedynki toczone pleszo między szeregami wojowników odzianych w prymitywne pancerze i dzierzących broń z epoki kamiennej zaczęły odchodzić w przeszłość; zwycięstwa stały się teraz udziałem znakomicie uzbrojonych i niezwykle ruchliwych jeźdźców, którzy uderzali szybko, z niszczycielskim skutkiem wykorzystując nowo nabyte możliwości. Plemiona rzadko zdobywały się na scentralizowaną strategię podboju, lecz przeprowadzały działania wojenne przeciw sąsiadom i w wirze zmian, w których konie i karabiny stanowiły klucz do przetrwania, uczyniły wojnę sprawą kluczową dla swych kultur.

Wojownicy Wron udawali się na tak dalekie wyprawy, że często mawiali: *miłsiśmy poobijane tylko*. Pod koniec lat dwudziestych XIX wieku zwalczali Kłowów i Komanców, a wtedy plemiona te żyły daleko na południu, zaś wojownicy prowadzeni przez

Tego Co Zwiąja Swój Ogon przez dwa i pół roku przebywali na wyprawie, docierając aż na pustynne tereny Apaczów. Niemniej Wrony, by znaleźć wrogów, rzadko musieli podróżować. Jak wspominał Wiele Dotknięć: *Wszystkie plemiona były przeciwko nam - Czarne Stopy na północy i zachodzie, Czejennowie i Siuksowie na wschodzie, Szoszoni i Arapaho na południu, a oprócz nich często walczyliśmy z Płaskogłowymi, Asiniotami i Włochatymi Nosami* [Wielkie Brzuchy z preri czyli Atsina]. Wojna była dla nich czymś zasadniczym, pochłaniała ich całkowicie gdyż zagrażała całemu społeczeństwu. Nasilenie walk międzyplemiennych w XIX wieku sprawiło, że biali obserwatorzy zwątpili w możliwość przetrwania Wron w obliczu ciągłych i wzrastających strat i często przepowiadali rychłe wyćpienie plemienia¹. Zgodnie z tradycją, Wrony oddzieliły się od swych pobratymców Hidatsów po kłótni, jaka wywiązała się między nimi na polowaniu i legendarny wódz imieniem Bez Wnętrzości, powiódł swych ludzi ku równinom na zachód, w dzisiejszej Montanie. Data i szczegóły tych wydarzeń nie są zbyt jasne, lecz zdaje się, że rozłam trwał przez kilka pokoleń i dokonał się ostatecznie chyba w połowie XVIII wieku. Niektóre źródła datują podział plemienia na Wrony Górskie i Rieczne na wiek dziewiętnasty, lecz większość sądzi, że rację ma podanie Hidatsów mówiące, że Wrony rozbiły się na dwie grupy, zanim przybyły nad Missouri. Górskie Wrony mogli być na północno-zachodnich Równinach już na dwadzieścia lat przed Wronami Riecznymi. Plemię stanowiło więc sojusz grup. Wrony Górskie, Wrony Rieczne i trzeci odłam, Kopnięci w Brzuchy, zwalczali wspólnych wrogów, lecz we własnych sprawach cieszyli się znaczną autonomią.

Ziemie, na które przenieśli się Wrony, nie były puste. Węże czyli Szoszoni wciąż stanowili zagrożenie na północnych Równinach w połowie XIX wieku, a grupy Kiołów i Komanczów nadal przemierzały te tereny. Jednak ataki Czarnych Stóp, niedawno zaopatrzonych w broń palną, ros-

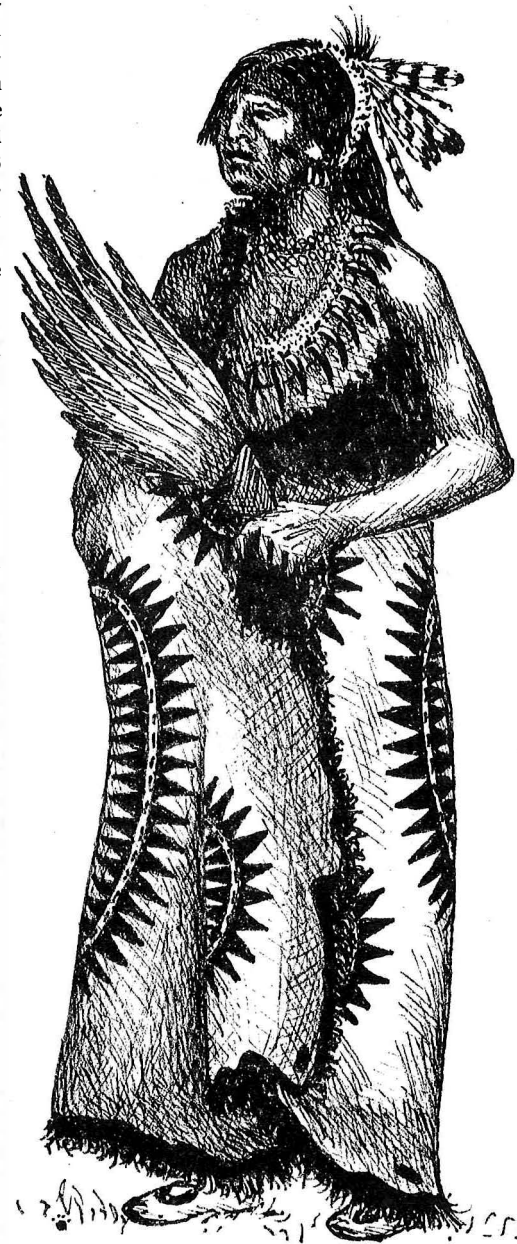
nący nacisk ze strony Wron, Arapahów i Atsinów oraz epidemia czarnej ospy, która przewaliła się przez Równiny w latach 1780-81 położyła kres potęgze Szoszonów i zepchnęła to plemię z Równin. Wrony wraz z innymi plemionami, wyparli północnych Komanczów na południe, poza rzekę Platte, na tereny, które im odpowiadały z racji łatwego dostępu do stad koni na Południowym Zachodzie. Kiedy odeszli Szoszoni i Komancze, Wrony przenieśli się do kraju nad rzekami Bighorn i Yellowstone, stając się panami najbogatszych ziem na północnych Równinach. Następne sto lat wystawiło na ciężką próbę ich zdolność utrzymywania wywalczonych terenów, szczególnie kiedy zmniejszające się gdzie indziej źródła utrzymania i zwiększający się nacisk sprawiły, że inne ludy spoglądały chciwym wzrokiem na ich ziemię.

Wódz Wron Arapooish czyli Zgnięty Brzuch chwalił się, że nie ma drugiego takiego kraju jak kraj Wron i podróżni zgadzali się, że był on „rajem myśliwych”. Istotnie, stada bizonów nigdy stąd nie odeszły, aż wyćpieno je pod koniec XIX wieku. Niestety dla Wron, owe stada stanowiły też magnes dla plemion szukających bogatszych, niż swoje, terenów myśliwskich. Zanikanie bizonów w XIX wieku następowało w różnym natężeniu w różnych częściach Równin, popychając plemiona do zwiększonej rywalizacji o kurczące się zasoby. Niezmiennie bogaty zwierzostan kraju Wron gwarantował, że z każdym sezonem łowieckim stawał się on polem bitewnym dla coraz bardziej zdesperowanych myśliwych i wojowników.

Polowanie na bizona i przemierzanie wrogich terenów ułatwiała nabywanie koni. Swe pierwsze wierzchowce Wrony pozyskali prawdopodobnie od Szoszonów lub Komanczów, gdzieś między 1730 a 1760. Na początku XIX wieku byli już znakomitymi jeźdźcami zaprawianymi do jazdy od wczesnego dzieciństwa, zdaniem obserwatorów, najlepszymi na świecie. Plemię zasłynęło z posiadania niezliczonych stad. Słowo „wojna” utożsamiano stopniowo ze słowami „wyprawa po konie”. Wojownicy

spodziewający się wrócić konno wyruszali pieszo kraść konie aż po środkowy bieg Missouri i poza Dział Kontynentalny. Opowiadali oni handlarzowi z Towarzystwa Północno-Zachodniego (North West Company), Antoine Larocque'owi, że siedząc na koniu byli nie do pokonania, lecz pieszo nie mieli szans w walce z innymi plemionami nie posiadającymi wierzchowców. W 1876 roku porucznik James H. Bradley podejrzewał, że za zapewnieniami Wron, będących jego zwiadowcami, o zwalczaniu Siuksów za wszelką cenę, kryje się jedynie chęć zagarnięcia rumaków wrogów. Jednak dla Wron zdobycie koni Siuksów stanowiło spełnienie obietnicy. To byli ci sami zwiadowcy, którzy płakali w pohańbieniu i przysięgali zemstę Siuksom, na rzecz których stracili swe wierzchowce i którzy odmówili walki pieszo, mówiąc że czasy, kiedy walczone w ten sposób, odeszły do przeszłości.

Handlarze Wron zapewnili sobie zyskową pozycję w rozprowadzaniu koni na Równinach; pozwalała im ona na bywać europejskie towary w włoskach Mandanów i Hidatsów nad górną Missouri. Plemię, gdy tylko otrzymało swe pierwsze konie, zajęło się regularnym handlem. Edwin Denig podaje, że zbierało się ono w jednym miejscu każdego lata, a potem ruszało przez Góry Skaliste nabywać konie od Płaskogłowych (Flathead), Przekłutych Nosów (Nez Perce) i Szoszonów. Później Wrony pędzili je na wschód, nad Missouri i wymieniali na karabiny, amunicję, siekiery, narzędzia i tytoń, które ich pobratymcy, Hidatsa nabywali od brytyjskich kupców. Wrony nie mieli w zasadzie innego sposobu na pozyskiwanie niezbędnych do życia europejskich dóbr, w tym strzelb. To, co otrzymywali od Hiszpanów z południa, nie zaspokajało ich potrzeb. Kupcy plemienia zapewnili sobie piękne dochody dzięki koniom, które sprzedawali w włoskach nad Missouri i w 1800 roku pośredniczyli w handlu między Płaskogłowymi i Szoszonami a Mandanami i Hidatsa, zazdrośnie strzegąc swej pozycji. Kiedy Antoine Larocque postanowił udać się



z nimi znad Missouri do ich obozów, odnieśli się do tej propozycji z mieszanymi uczuciami. Ten jednak wiedział, że Wrony pilnie potrzebują bezpośredniego dostępu do broni palnej i oświadczył im, że *wle, w jak żalosnym stanie(!) się znajdują i nie mają się czym bronić, lecz to powinno się skończyć, gdy zostaną dzielnymi myślitwymi*. Chęć utrzymania strzelb przemożliła i Larocque udał się z Wronami do ich ojczyzny.

Rola Wron jako kupców i pośredników różstrzygnęła o obronie ich ziem przed konnymi i uzbrojonymi w strzelby wrogami. Parcie Siuksów na zachód na początku XIX wieku zagroziło ich gospodarstwu pozycji. Kiedy grupy Tetonów zajęły Czarne Wzgórze (Black Hills) i tereny nad rzeką Prochową (Powder River), Wronom ciężko było przedostać się do wiosek Mandanów i Hidatsów, gdyż wojenne zagony wrogów napadały na kupców zdążających nad Missouri. Ich kłopoty zmniejszyły się nieco, gdy Amerykańskie Towarzystwo Futrzarskie (American Fur Company) założyło dla nich placówki handlowe nad Yellowstone, ale Wrony i tak często wyruszali na handel do wiosek nad Missouri, co trwało aż po czasy gdy osiedli w rezerwach.

Pomimo - a może wręcz przeciwnie, właśnie z powodu - swych niezliczonych stad koni, dogodnej roli pośredników handlowych i terenów pełnych zwierzyny, Wrony znajdowali się na nader niebezpiecznej pozycji. O charakterze międzyplemiennych stosunków na północnych Równinach decydowały cztery sojusze: konfederacji Czarnych Stóp, Assinibolnów i Kri, Mandanów i Hidatsów oraz Siuksów, Czejennów i Arapahów. Wrogowie otaczali Wrony ze wszystkich stron i wojownicy coraz częściej musieli ruszać na wyprawy. Plemię nie dysponowało wielkimi rezerwami ludzkimi, aby przez długi czas sprostać warunkom totalnej wojny. Kiedy zajęło tereny nad Yellowstone, liczyło prawdopodobnie osiem tysięcy ludzi, lecz wznawiane raz po raz wojny oraz epidemie robiły swoje i większość dziesiętnastowiecznych kronikarzy oceniała ich liczbę na cztery- pięć

tysięcy, w tym nie więcej niż tysiąc dwustu wojowników. Dysponując tak niewielką siłą zbrojną Wrony znaleźli się między dwoma największymi tubylczymi potęgami na północnych Równinach.

Ideał wojownika wymagał, by młodzież oswoiła się ze śmiercią i oddawała życie, gdy zachodziła taka konieczność. Młodzieńcom Wron mówiono, że tylko niebo i ziemia trwają wiecznie i że podeszły wiek jest „rzeczą złą”, zaś Szalone Psy Pragnące Umarzeć czyli ci, którzy zobowiązywali się szukać śmierci na polu walki cieszyli się szczególnymi przywilejami i szacunkiem, dzięki temu, co mogło przynieść kres ich życiu. Niemniej warunki demograficzne wymagały by wojownicy Wron unikali śmierci za wszelką cenę. Wrony modlili się o zabijanie wrogów bez strat własnych, pilnie starając się o to na wyprawach. Śmierci jakiegos wojownika towarzyszyły ogromny ból i żaloba, i plemię stało adoptowało wzięte do niewoli kobiety i dzieci, by powetować poniesione na wojnie straty.

Wrony musieli walczyć o przetrwanie w świecie wędrowek, podbojów, zmniejszania i niszczenia zasobów naturalnych a „nowa” wojna, jaka powstała na Równinach, miała na celu realizację niezwykle ważnych celów gospodarczych i militarnych. Jednak uświęcone tradycją społeczno-religijne elementy kultury wojennej trwały i podtrzymywały plemię na duchu. To, że coraz więcej wojowników ginęło w bitwach, w żadnej mierze nie pomniejszało szacunku dla snów i magii wojennej; raczej wzmagало wysiłki do szukania pomocy sił duchowych i do ściślejszego przestrzegania nakazów religijnych. Śmierć w walce wskazywała na fakt, że duch opiekunczy zabitego nie był wystarczająco mocny, albo że ofiara nie podtrzymywała pełnego szacunku związku ze swym opiekunem, zachowując się niewłaściwie.

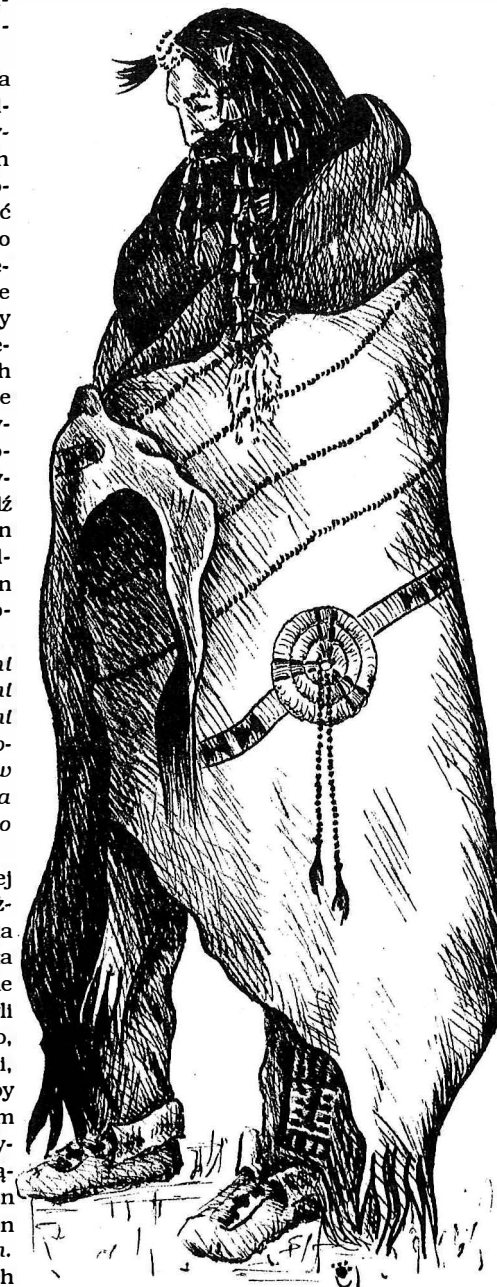
Wojownicy korzystali z mocy danej im w snach dzięki pieśniom i świętym przedmiotom, nosili tarcze dające im raczej duchowe aniżeli fizyczne zabezpieczenie, gromadzili i strzegli świętych zawinątek, które skupiały w sobie uświęconą moc.

Dawna broń i tarcze pozostały nieodłączną częścią ekwipunku wojownika na długo po tym, jak karabiny zajęły ich miejsce w ściśle militarnym znaczeniu.

Związki wojowników stały się osłą życia Wron ukierunkowując ducha współwzornictwa męczyzn i prowadząc do międzyplemiennej rywalizacji w brawurowych wyczynach, a nosiciele lasek dotknąć, którzy ślubowali, że raczej poniosą śmierć aniżeli ustąpią, dążyli do symbolicznego zwycięstwa nad wrogiem, nawet gdy plemię z trudem dawało sobie radę w świecie pełnym napięć i niebezpieczeństw. Bitwy były zarówno starciem wrogich sobie tajemniczych mocy, jak i starciem samych wojowników, zaś biali słabo zdający sobie sprawę z istoty rzeczy, postrzegali międzyplemienne bitwy jako drobne hałaśliwe potyczki, gdyż pojmowali wojnę tylko w fizycznym rozumieniu strat i zdobytych bądź utraconych pozycji. Jednakże kupiec Warren Ferris właściwie pojął związek między odwagą okazywaną przez wojownika Wron a zaufaniem, jakim darzył swoją moc wojenną, mówiąc:

Nadzwyczaj przesądni, przystrojeni skórą ptaków, małymi zwierzątkami czy innymi drobniactwami posiadający moc, w skuteczność których wierzą głęboko, szarżują nieustraszenie na wrogów w pełnym przekonaniu, że ich wojenna moc pokona każde niebezpieczeństwo i ochroni przed nieszczęściem.

Lecz Wronom trzeba było czegoś więcej poza mocą wojenną, aby wytrzymać potężny nacisk w kotie, jaki się wytworzył na północnych Równinach, gdzie wojna była czymś tak naturalnym, jak powietrze. Nie popełnimy błędu mówiąc, że Wrony toczyli ją zarówno z konfederacją Czarnych Stóp, jak i z Siuksami i ich sprzymierzeńcami, i że wojna ta trwała ciągle. Czarne Stopy władali rozległym obszarem rozciągającym się od Saskatchewan po Yellowstone, zyskując sobie sławę Izmaelitów terroryzujących tak Indian, jak i białych. Washington Irving określił ich wrogosć wobec Wron ukochanym przykazaniem religijnym. Zaopatrzeni w strzelby przez angielskich



kupców, skutecznie blokowali do nich dostęp innym plemionom, najeżdżając Szoszonów, Płaskogłowych i Kutenajów, wdzierali się na południe, wypierając Wrony znad Yellowstone. Handlarz Alexander Henry Młodszy donosił, że *Wrony są jedynym narodem, który odważa się czasami ruszać na północ w poszukiwaniu niewolników*, lecz prawdę mówiąc, byli całkowicie pochłonięci obroną przed Czarnymi Stopami i czasem biali kupcy i inni Indianie walczyli u ich boku przeciw tym rozbójnikom północno-zachodnich Równin. W 1808 roku traper John Colter wziął udział w tytanicznym starciu między Czarnymi Stopami a Wronami i Płaskogłowymi, po którym całymi latami biegały kości na prerii.

W 1826 roku Wrony zaczęli wreszcie odnosić pierwsze sukcesy, kiedy Kri którzy ponieśli ciężką klęskę z rąk Czarnych Stóp, zawarli z nimi przymierze. Ich wyprawy ruszyły przeciw Pleganom, Krwawym (Blood), Czarnym Stopom i Atsinom, odnosząc szereg zwycięstw, które wypchnęły wrogów daleko na północ poza Edmonton House - placówkę założoną przez Towarzystwo Zatok Hudsona (Hudson's Bay Company). Edwin Denig pozostawił opis największego zwycięstwa, które wódz Zgnięty Brzuch odniósł w wiosce Czarnych Stóp w dolinie rzeki Skóruplaka (Musselshell River). Prowadził swój obóz pozorując odwrot, a w rzeczywistości okrażał wroga. Kiedy Czarne Stopy wyciągnęły się w długiego węża, ruszając w pochód, poprzecinał go na kawałki, zabijając blisko setkę mężczyzn, biorąc w niewolę dwieście trzydzieści kobiet z dziećmi i zagarniając pięć tysięcy koni. Inna grupa Czarnych Stóp padła ofiarą Wron, gdy latem 1832 roku wracała do domu doliną rzeki Wiatru (Wind River). Na nieszczęście dla Wron, powstanie siewci amerykańskich faktorii nad Missour i otwarcie ich handlu z Czarnymi Stopami pozwoliło temu plemieniu w latach trzydziestych odzyskać dawny wigor. Co więcej, wzrastający napór ze strony Siuksów sprawiał, że Wrony z mniejszą energią mogli przeciwstawiać się północnym wrogom.

Pokój zawarty przez Wrony i Czarne Stopy w forcie Union w 1832 roku przetrwał tylko dwa lata. W 1834 Wrony odniosły pyrrusowe zwycięstwo nad tym plemieniem, lecz w bitwie stoczonej w tym samym roku stracili swego wojennego wodza, Zgniętego Brzucha². Czarne Stopy w 1837 roku zostali zdziesiątkowani przez czarną ospę, a w osiem lat później Wrony zadali im śmiertelny cios niszcząc Małe Płaszczce, odłam Pleganów. Pierre Jean de Smet powiedział, że Wrony zmasakrowali całą tę grupę uprowadzając w niewolę sto sześćdziesiąt kobiet i dzieci, jednak resztki Małych Płaszczki ocalały. Radość z odniesionego zwycięstwa rychło jednak przeszła w żalobę, gdyż Pleganowie chorowali na szkarlatynę, która prędko rozeszła się po obozach Wron.

Ataki Czarnych Stóp trwały i w październiku 1854 roku Alfred Vaughan, indyjski agent z fortu Pierre, zauważył, że *rzadko mija dzień, by kraju Wron nie nawiedziła jakaś wyprawa Czarnych Stóp mordująca wszystkich, którzy trafią w ich ręce*. Sytuacja stała się na tyle ciężka, że Wrony musieli obywać się bez towarów, które przyznał im traktatem rząd Stanów Zjednoczonych, gdyż drogę do nich blokowali im wrogowie. Mocą układu zawartego pod wpływem gubernatora Terytorium Oregonu, Izaaka Stevensa, przedstawiciele Czarnych Stóp, Wron, Atsinów, Przekłutych Nosów, Kallspel i Kutenajów postanowili zaprzestać walk i wypadów na tereny myśliwskie sąsiadów, a rzeka Skóruplaka stała się granicą między Wronami i Czarnymi Stopami. Ten kruchy pokój utrzymał się także tylko dwa lata.

Zasadniczy zwrot w układzie sił na północnych Równinach nastąpił w 1861 roku, kiedy Atsina czyli Wielkie Brzuchy porzucili Czarne Stopy i ponownie złączyli się z Wronami. Sojusz ten wzmocnili górnicy Assinibolnowie. Jednak późnym latem 1866 roku Pleganowie zadali druzgoczącą klęskę połączonym Wronom i Atsinom, zabijając ich trzystu w starciu, które okazało się największą bitwą między tymi plemionami. Epidemia czarnej ospy w 1867 roku



położyła na zawsze kres potędze Czarnych Stóp, choć sporadyczne potyczki między nimi a Wronami trwały aż do 1887 roku.

Największe i niemal nieustające niebezpieczeństwo groziło Wronom ze wschodu. Zachodni Siuksowie przekroczyli Missouri i w swym marszu w głąb Równin usunęli ze swej drogi słabsze plemiona, w płęddziesiąt lat zostając panami środkowych Równin. Wojenna wyprawa Oglalów, która dotarła do Czarnych Wzgórz w 1775 roku stanowiła czołówkę pochodu, który w końcu wypchnął Wrony i Kłowów z tych stron, a Tetonowie toczyli walki z Wronami już wtedy, gdy Lewis i Clark wyprawili się na Zachód. Siuksowie podjęli wysiłek oczyszczenia Równin między Missouri a Czarnymi Wzgórzami z mieszkających tam plemion i zamknięcia zachodnim kupcom, takim jak Wrony dostępu do wiosek nad Missouri. Wraz ze sprzymierzonymi Północnymi Czejennami i Arapahami zaczęli wypierać Wrony z Czarnych Wzgórz i gdzieś około 1800 roku myśliwi tych ostatnich zaczęli się opierać już o zachodni brzeg rzeki Prochowej. Jak podaje zimowy kalendarz Siuksów z 1801 roku, wojownicy Oglala, Brule, Minniconjou i Bez Łuków (Sans Arc) wsparci przez nlelicznych Czejennów udali się na potężną wyprawę do kraju Wron, gdzie zaskoczyli i zniszczyli wioskę liczącą około trzydziestu namiotów.

W 1819 lub 1820 roku Wrony wybili do nogi wyprawę czejeńskich wojowników ze związku Napłętej Cięciwy czy też Krzywej Lancy w walce nad Języczną Rzeką (Tongue River). Czejennowie posłali więc wojenną fajkę do sprzymierzonych Oglalów, zapraszając ich do udziału w wyprawie odwetowej. Gromady Siuksów i Czejennów ruszyły na tereny Wron i zaskoczyły wioskę stu namiotów w chwili, gdy większość wojowników była nieobecna i wzięły do niewoli kobiety z dziećmi żeby je przyjąć do swych plemion. Ta klęska sprawiła, że Wrony cofnęli się jeszcze dalej i pozwolili Siuksom zagarnąć wschodni Wyoming³.

Wrony nie byli w stanie utrzymać swych ziem nad rzeką Prochową, ale też nie pozwolili na ich zajęcie. Przez wiele lat tereny

te były czymś w rodzaju ziemi nliczyłej między walczącymi plemionami i Wrony stawiali długi, krwawy opór wdzierającym się tam Siuksom. Systematyczne walki między nimi a Siuksami, Czejennami i Arapahami opisywano jako „ciągle” i toczące się „od niepamiętnych czasów”. Kroniki Tetonów przez całe lata nazywają Wrony znakomitymi przeciwnikami, zaś miano, jakie ci nadali Siuksom brzmiało „Odcinający Nasze Głowy” i w języku znaków wyrażało się przeciąganiem dłoni po gardle.

W połowie lat trzydziestych XIX wieku minęło pięćdziesięciolecie walk Wron ze Siuksami. Epidemia czarnej ospy, jaka rozszalała się w 1837 roku wśród Mandanów, Hidatsów i Arikarów usunęła Siuksom ostatnią przeszkodę nad górną Missouri w ich parciu na zachód i w miarę jak bizony zaczęły zanikać, zwrócili uwagę na bogaty w zwierzyinę kraj i stada koni Wron mogące zaspokoić potrzeby ich ciągle rozrastającego się narodu. Wydaje się, że wraz z Czejennami rozważali możliwość zupełnego wytępienia Wron. Ci, cierpiący od powtarzanej epidemii, zaczęli się rozglądać za jakąś pomocą w obliczu grożącej katastrofy.

Sojusze, będące z grubsza biorąc, współpraca dla wspólnych celów, stanowiły część strategii nlezbędnej w zmieniającej się sytuacji, więc dyplomacja międzyplemienna starała się o zawieszenie działań wojennych na rzecz prowadzenia handlu. Rozejmy i przyjazne wizyty zdarzały się nawet i u Czarnych Stóp. Zmieniający się układ sił na północnych Równinach przesądzał czasem o sojuszu wczorajszych wrogów w obliczu groźniejszego niebezpieczeństwa. Zanim ostatnie grupy Kłowów wycofały się z Czarnych Wzgórz, wraz z Wronami wspólnie stawiały czoła wdzierającym się tam Siuksom i Czejennom⁴. Po wyparciu Szoszonów znad Yellowstone przez Wrony, stosunki między obydwojema plemionami cechowały regularny handel, wzajemne porywanie sobie koni, liczne rozejmy i okresowe sojusze przeciwko Czarnym Stopom. Starcia między nimi osiągnęły swe apogeum w bitwie koło Szczytu Wroniego Serca (Crowheart Butte) pod koniec 1858 lub na

początku 1859 roku. Czterodniowa walka - jak mówi legenida - skończyła się, gdy wódz Szoszonów, Washakie, zabił w pojedynku przywódcę Wron, Wielkiego Zbójcę, i zjadł serce swego walecznego przeciwnika. Bitwa ta położyła kres roszczeniom Wron wobec szoszońskich terenów myśliwskich i w końcu, w 1876 roku, oba plemiona zawarły trwały pokój.

Stosunki Wron z trzema plemionami znad Missouri były zazwyczaj przyjazne, choć znane są też wrogle wystąpienia; w 1804 roku Wrony walczyli z Arikarami. Z Assiniboinami na przemian prowadzili wojnę i zawierali pokój. W lecie 1817 roku, jak podaje porucznik James H. Bradley, historyk-amator z Pierwszego Pułku Piechoty, ponad tysiąc Assiniboinów wyruszyło pieszko na wyprawę przeciwko nim. Wojownicy Wron zadali im taką klęskę, że tylko niedobitki wróciły do domu. Od tam Assiniboinowie darzyli Wrony odpowiednim szacunkiem i ograniczali się jedynie do porwania im koni. Edwin Denig mówi, że oba plemiona walczyły ze sobą do 1844 roku, kiedy to zawarły pokój i stały się wiernymi przyjaciółmi. Zagrożenie ze strony Czarnych Stóp zmusiło oba narody do sojuszu, gdyż żaden z nich nie mógł mu sprostać w pojedynkę.

Wrony handlowali, a czasem walczyli tak z Płaskogłowym, jak i z Przekłutymi Nosami. Te plemiona z międzygórz zaopatrywały ich w konie i Wrony czasami kradli im stada. Ze swej strony Płaskogłowi i Przekłute Nosy przechodzili góry, żeby zapolować na bizony i Wrony od razu ich napadali. Wśród Wron i Przekłutych Nosów przetrwała tradycja o przyjaznych kontaktach handlowych i małe wyprawy tych ostatnich przychodziły z pomocą Wronom z najwyższym trudem broniącym się przed Siuksami. Nie można jednak tego układu uznać za absolutnie trwały: w 1872 roku między obydwojema plemionami doszło omal do wojny, zaś w pięć lat później wojownicy Wron służyli jako zwiadowcy w armii amerykańskiej podczas słynnego pościgu za Przekłutymi Nosami prowadzonymi przez Zwierciadło i Józefa. Wielu

Wron nie przystało jednak na propozycję zwalczania dawnych przyjaciół i plemię zawsze darzyło Przekłute Nosy i Płaskogłowych należnym im szacunkiem. Wiele doświadczeń opowiadał, że Płaskogłowi ustępują odwagę tylko Czejennom: *Płaskogłowi nie uciekną. Upuszczają swój płaszcz [tzn. umiera] tam, gdzie stoi*.

Jak na ironię, Wrony zyskali sobie głównego sojusznika nie wśród innych ludów Indian, podobnie jak i oni wypierali ze swych terenów, lecz w nowej szybko rosnącej potęgę, która zapoczątkowała tyle chaotycznych zmian na Równinach. Od samego początku Wrony zachowywali się przyjaźnie wobec białych. Kupcy i podróżnicy wprawdzie stale skarżyli się, że Wrony to kłamcy i złodzieje, i że traktują białych z pogardą, lecz z reguły nie napadali na nich, ani nie zabijali⁵. W 1825 roku Wrony podpisali układ pokojowy ze Stanami Zjednoczonymi lecz przez długie lata Amerykanie nie byli w stanie dać im żadnej pomocy.

Traktatem w forcie Laramie z 1851 roku plemiona północnych Równin zobowiązały się powstrzymać od walk z sąsiadami i szanować ustalone granice międzyplemienne. Układ nie odzwierciedlał jednak faktycznej sytuacji istniejącej na tych terenach. Półwleczy pochód Siuksów na zachód uczynił dorzecze Yellowstone terenem neutralnym i mimo zawartego traktatu spoglądali oni nadal na ziemie Wron. Pokój między Wronami a Minniconjou mógł trwać przez kilka lat, lecz już Hunkpapa podczas obrad dał jasno do zrozumienia, że nie mają zamiaru zakończyć walk z Wronami i wyprawy północnych Tetonów nadal przechodziły Yellowstone i rzekę Prochową. Traktat z Laramie wkrótce zupełnie przestał obowiązywać. W 1853 roku wyprawa Siuksów Yanktona! wycięła w pień grupę trzydziestu pięciu mężczyzn, kobiet i dzieci Wron. Najwidoczniej nie zdawali sobie oni sprawy z niebezpieczeństwa, gdyż znajdowali się na zagwarantowanym im w traktacie terytorium.

Tereny Wron tak często nawiedzały wyprawy wrogich wojowników, że handlarze bal się tam zapuszczać. Amerykańskie To-



BIAŁY CZŁOWIEK GONI GO, indiański zwiadowca z plemienia Wron.

warzystwo Futrzarskie zlikwidowało swe placówki, więc nie mogli od swych agentów pobierać przyznanych im towarów. Izolacja ta połączona z błędną polityką rządu pozbawiła plemię przydziałów w tym samym czasie, gdy stało ono w obliczu największego niebezpieczeństwa, zaś Szuksowie regularnie pobierali strzelby i amunicję.

Wrony zdobyli się na twardy opór. W 1858 roku agent Thomas Twiss rezydujący w agencji nad górną Platte, prosił o wystawienie tam garnizonu wojska dla ochrony jego Szuksów, Czejenów i Arapachów przed atakami Wron⁶. Jednak stały nacisk robił swoje. Na początku lat sześćdziesiątych Wrony wędrowali po górach na

zachodzie, gdyż Szuksowie wyparli ich poza Yellowstone, i rzadko odwiedzali się wracać na stare tereny myśliwskie. W 1865 roku mówiono, że z rąk Szuksów stracili jedną trzecią ludzi i większość koni, wędrując cały czas, aby uniknąć oddziałów wrogów i tropić bizona dające życie.

Najazdy zeżłazy podczas tak zwanej wojny Czerwonej Chmury w latach 1866-1867, kiedy Szuksowie skupili wysiłki na zamknięciu szlaku Bozema. Na naradzie zwołanej w lipcu 1866 roku w forcie Phil Kearney zapytano wodzów Czejenów, dlaczego żądają ziem Wron. Odpowiedzieli w te słowa: *Zabraliśmy tereny myśliwskie Wron, gdyż były najlepsze. Białe człowiek podąża znad wielkich wód, więc potrzebujemy więcej miejsca. Zwalczamy Wrony, gdyż nie chceli się zadowolić połową swych ziem i oddać nam resztę.*

Wojownicy Wron ofiarowali będącemu w ciężkich opalach wojsku Stanów Zjednoczonych pomoc przeciw wspólnym wrogom, lecz zwycięstwo Szuksów i opuszczenie fortów C.F. Smith, Phil Kearney i Reno raz jeszcze zostawiło ich na pastwę bezwzględnych wrogów. Zdaje się, że do zwyczaju Szuksów weszło, po ukończeniu dorocznych uroczystości Tańca Słońca, na których zbierało się całe plemię, wyruszać na wielką wyprawę przeciw Wronom⁷.

Na początku lat siedemdziesiątych Wrony mieszkali w swoim rezerwacie, po części wypełniając warunki układu zawartego w forcie Laramie w 1868 roku, ale głównie z obawy przed Szuksami. Liczne i znakomicie uzbrojone wyprawy tych ostatnich regularnie najeżdżały rezerwat, ścigając skąpy i odpędzając stada. W 1870 roku przywódcy Wron tak przemawiali do agenta:

Spójrz na nasz kraj i na naszych wrogów. Otaczają nas ze wszystkich stron. Szuksowie, Czarne Stopy, Czejenowie, Arapaho, Płaskogłowi - wszyscy chcą naszych ziem i zabijają nas, kiedy chcą. Nie mamy przyjaciół wśród Indian, oprócz Bannoków, a ci są od nas daleko. Gdy ostatnim razem walczyliśmy z Szuksami, ich bagaże pełne były mąki danej im przez

naszego Wielkiego Ojca, a co gorsza, mieli mnóstwo znakomych strzelb i amunicji, a także koni, które biali pozwalają im kraść... Jeśli Wielki Ojciec nie utrzyma naszych wrogów z dala od naszego kraju, niech da nam broń, abyśmy mogli ich zabić, gdy tutaj przyjdą.

Kolejni agenci zdawali sobie sprawę ze słuszności żądań Wron i prosili o broń pałą, dopóki Szuksowie i inne plemiona nie zostaną zmuszone do osiedlenia się w swych rezerwach. Powtarzali ciągle o niemożności skłonienia Wron do uprawy ziemi, lecz ci odpowiadali, że trudno im się osiedlić w sytuacji, gdy ich najżyźniejsze ziemie zajmują wrogowie, którzy nekają ich napadami i przepędzają z miejsca na miejsce.

Zdecydowanie ustępując Szuksom liczbą ludzi i karabinów, Wrony kazali im jednak drogę pałąć za najazdy. Do walnej bitwy między obydwojma plemionami doszło w końcu 1873 roku u ujścia potoku Pryor, wpadającego do Yellowstone od południa. *Squaw man*⁸ Thomas Leforge podaje, że w starciu brało udział ponad dwa tysiące Wron wspomaganych przez dwustu wojowników Przekłutych Nosów. William White, żołnierz z Drugiego Pułku Kawalerii, który poślubił Indiankę z plemienia Wron, przedstawił mniej dramatyczną wersję wydarzeń, na zwykły sposób białych pojmując walkę wojennych mocy Indian, które odgrywały tak istotną rolę w każdym takim spotkaniu. White oświadczył, że Wrony stracili ośmiu lub dziewięciu wojowników, lecz utrzymali pole bitwy po kilku godzinach charakterystycznej indiańskiej walki - wyzłwisk, popłisów młodzieży, ataków i odwrotów, podczas których rzadko ścilił się trup.

Choć rząd nigdy nie posłuchał rad, by dać Wronom broń do walki z Szuksami, najmował ich jako zwiadowców i kurierów, wykorzystując teraz odwieczną wrogość między plemionami, żeby zapewnić sobie ich pomoc. Agent Wron, Dexter Clapp, tak zachęcał do walki swych podopiecznych:

Niedawno żony poległych stanęły przed wodzami nagle i brozące z ran zadanych

sobie z żalu, błagając o zemstę. Kilku młodzieńców obiecało ich pomścić, aby mogły pomalować się na czarno i skończyć żałobę. Teraz jest czas dokonać zemsty.

Dwudziestu trzech wojowników i dwóch *squaw men* (jednym był Leforge) zaciągnęło się jako zwiadowcy, każdy złożył na ostrzu noża przysięgę wierności i założył na ramię czerwoną opaskę, żeby się odróżniać od wrogów.

Tajemnicza Wrona, Wiele Dotknięć i inni wraz z Szoszonami Washakiego walczyli u boku generała George'a Cooka w bitwie nad rzeką Rosebud 17 czerwca 1876 roku. Jednak sławę przyniosła im bitwa nad Little Bighorn, w której osiem dni później zginął George Armstrong Custer, a którą - zdaniem Wron - stoczono na terenie ich rezerwatu, nawiedzonego coroczną inwazją Słuksów. Towarzyszyli też generałowi Nelsonowi Milesowi w kampanii przeciw Słuksom i Bannokom, a niektórzy ścigali Przekłute Nosy w 1877 roku. W tym samym roku miało miejsce wydarzenie, które przekonało wszystkich, że Wrony sami wybierają sobie przyjaciół i wrogów. Działający na ich terenach generał George Buell bał się, że Wrony mogą napasać na jego zwiadowców Słuksów i Arapaho. Zarządził zatem pokojowe zebranie przywódców Wron ze zwiadowcami, na którym wymieniono uścisk dłoni. Niezbyt chętni do tego Wrony po podaniu ręki uderzali lekko laską dotknięć każdego z odwiecznych wrogów. Zwiadowcy Buella zrozumieli aluzję i czym prędzej opuścili te okolice.

Po 1876 roku, po uwięzieniu, śmierci czy też zamordowaniu wodzów Słuksów, międzyplemienne walki osłabły. Jednak duch wojenny Wron żył nadal i wojownicy z trudem wyzbywali się starych zwyczajów i wartości nabytych od pokoleń w toku prowadzonych wojen. Pod koniec lat siedemdziesiątych Wrony nazywano „najdziłszymi” Indianami Równin, jak najdalej stroniącymi od „cywilizacji”. Ich agent podkreślał fakt, że nie można się zbyt wiele spodziewać po plemieniu, które stale prowadzi wojnę i posiada mnóstwo zwierzy-

ny na rozległych terenach myśliwskich. Wiedząc nawet, że znajdują się u progu nowego życia, do którego trzeba się będzie przystosować, wojownicy Wron z tęsknotą patrzyli wstecz, ku dawnym czasom:

Nie ustają w rozpamiętywaniu dawnych szczęśliwych dni i walecznych czynów w minionych czasach, gdy nadejście białych nie położyło kresu ich wędrówkom. Jak najdroższy skarb strzegą swych przesądów i legend przeszłości, przekazując je wiernie młodym pokoleniom. Z najwyższą niechęcią odchodzą od obyczajów przodków.

W 1887 roku młody szaman imieniem Nosiciel Szabli zainspirowany potężną wizją rzucił wyzwanie rządowi amerykańskiemu w krótkiej i dramatycznej próbie przywrócenia dawnego życia. Wojsko zjawiało się jednak natychmiast, zabijając Nosiciela Szabli i tłumiąc „powstanie”, co położyło kres nadziejom jego zwolenników. Wrony zostali zmuszeni do przystania na warunki nowego świata, który pozostawił mało miejsca na wartości drogie wojowniczymu społeczeństwu. W rok później Dwa Legginy wziął udział w ostatniej wyprawie Wron przeciwko Słuksom.

W stylu życia, jaki panował w rezerwach, wojownicy Wron nie widzieli wiele dobrego. Dużo Ciosów powiedział, że serca jego ludu upadły na ziemię, kiedy odeszły bizoni, zaś Dwa Legginy wyraził pogląd, jak każdy wojownik miał o życiu na jednym miejscu: *Później nie się już nie wydarzyło. Tylko wegetowaliśmy. Skończyły się wyprawy wojenne, polowania na bizoni, rabowanie koni Pleganom i Słuksom. Nie ma już o czym opowiadać.* W takich okolicznościach służba w armii Stanów Zjednoczonych pozwalała na jakąś ucieczkę od szarej codzienności. Wielu wojowników zgłaszało się na zwiadowców, by nie osiaść na roli. Od czasu bitwy z Custerem grupę zwiadowców regularnie zaciągano do oddziału stacjonującego w forcie Custer i przez kilka lat służyli jako regularni żołnierze kompanii I Pierwszego Pułku Kawalerii, aż do jej rozwiązania w 1895 roku.

Przez dziesiątki lat wydawało się, że Wrony ulegną zagładzie z rąk silniejszych

wrogów, którzy otaczali ich ze wszystkich stron, a których agresję wywołały obejmujące cały kontynent zmiany. Wrony jednak przetrwali. Epidemie i wojny złamały Czarne Stopy, militarna klęska i wyniszczenie bizonów uczyniło to samo z Słuksami i Czejennami. Sami dziesiątkowani chorobami i wojną, Wrony zachowali swą tożsamość, kulturę i nieco ziemi. Ich rezerwat leżał (i nadal leży) w sercu kraju, o który walczyli. Pomoc duchów opiekuńczych i okresowe sojusze z sąsiednimi plemionami pomogły im opierać się Czarnym Stopom i Słuksom, ale dopiero usadowienie się Amerykanów na północnych Równinach usunęło to zagrożenie. Sojusz ze Stanami Zjednoczonymi dał plemieniu trwałą nadzieję obrony ojczyzny przed starymi wrogami. Plemię przetrwało żeby sprostać nowemu wyzwaniu w okresie, gdy zagrożenie jego tożsamości i kultury przybrało inny charakter, lecz równie realny i trwały jak lata najazdów Czarnych Stóp i Słuksów.

Collin G. Calloway

Przetłumaczył Aleksander Sudak

Przypisy:

1. Młodzi innymi Edwin Thompson Denig. Jeden z nielicznych wykształconych handlarzy futer, żonaty z kobietą Assiniboin, autor wielu prac o Indianach północnych Równin, wydanych przez profesora Johna C. Ewersa (przyp. tłumacza).

2. Fred W. Voget w artykule *Warfare and the Integration of Crow Culture* zamieszczonym w „Explorations in Cultural Anthropology: Essays in Honor of George Peter Murdock” wydanych przez Warda H. G. Odenougha na str. 499 sądzi, że Zgniły Brzuch wolał wybrać raczej bohaterską śmierć niż pogodzić się z utratą prestiżu po niepomysłnym oblężeniu fortu McKenzie.

3. James Bradley datuje tę klęskę na 1822-23 lecz przecenia jej rozmiary mówiąc, że Słuksowie zmasakrowali blisko pięć tysięcy ludzi czyli ponad połowę plemienia.

4. Robert H. Lowie w artykule *Alleged Kiowa - Crow Affinities* zamieszczonym w „Southwestern Journal of Anthropology” 9-4 (Winter 1953) na str. 357-368 zaprzecza jakoby przyjazne stosunki cechowały w tym okresie obydwie plemiona.

5. Wyjątkami od tej reguły były wydarzenia w 1834 roku, kiedy Zgniły Brzuch oblegał fort McKenzie i w 1887, kiedy Nosiciel Szabli wywołał zamieszki w agencji Wron.

6. George E. Hyde uważa iż Twiss świadomie fałszował obraz mówiąc, że Słuksowie zachowywali się pokojowo, a sprawcami zamieszek byli Wrony. W rok później Alfred Vaughan, agent Czarnych Stóp, doniósł, że wojenna wyprawa Krwawych została wybita do nogi przez Wrony.

7. Jednym z celów zbierania się plemienia podczas letniego Tańca Słońca było zastraszenie sąsiednich plemion poprzez odprawienie uroczystości na spornym terytorium. Słynny Taniec Słońca przed bitwą nad Little Bighorn, w którym wziął udział Sledzący Byk, odbył się na terenach Wron.

8. *Squaw man* to określenie białego mężczyzny żonatego z Indianką (przyp. tłumacza).

Powyższy artykuł Colina G. Callowaya pod tytułem *The Only Way Open to Us: The Crow Struggle for Survival in the Nineteenth Century* ukazał się latem 1986 roku w „North Dakota History: Journal of the Northern Plains” Vol. 53, No. 3. Przetłumaczono go i opublikowano w Tawacinie za zgodą State Historical Society of North Dakota.

Profesor Colin G. Calloway wyklada na Uniwersytecie stanu Wyoming w Laramie. Jest specjalistą od historii Abenaków, stosunków międzyplemiennych na Wielkich Równinach i od losów ludzi z różnych plemion żyjących wśród Indian. Do jego ostatnio wydanych książek należą: *The Western Abenakis of Vermont, The Abenakis oraz Crown and Calumet*.

LAKOCKA NIEWOLNICA

Byliśmy ciągle w stanie wojny. Lakoci, Strzały Z Pasłastymi Piórami (Szejenowie), Arapaho, Pikuni (Piegan) i inne plemiona nigdy nie dawały nam spokoju. Kiedy wrogowie nie nękali nas, nasi wojownicy nękali ich, zawsze gdzieś z kimś walczyli. My, kobiety próbowałyśmy czasami zatrzymać naszych mężczyzn by nie szli na wojnę, ale było to jak mówienie zimną do wiatru. Oczywiście zawsze było kilka kobiet, czasami nawet bardzo wiele, które opłakiwały mężczyzn zabitych na wojnie. Ktoś musiał je wziąć w opiekę. Ktoś musiał dla nich zabić mięso. Robili to ich ojcowie, wujkowie lub bracia, aż do czasu gdy ponownie wyszły za mąż, co nie było regułą. Wojna więc zawsze dawała każdemu dużo pracy.

– Czy w obozie zawsze pozostawali jacyś mężczyźni – zapytałam w nadziei, że odpowiedź może przypomnieć jej jakąś historię.

– Tak – odparła. – Czasami gdy wyprawa wojenna wyruszała na poszukiwanie wrogów, wielu myśliwych uganiało się na równinach za bizonami, tylko starzy mężczyźni siedzieli w obozie; starcy i paru leniwych młodych. Pewnego razu, dawno temu Lakoci prawie zniszczyli Wrony, bo wszyscy mężczyźni poszli kraść konie. Zabili wszystkich starych mężczyzn, którzy pozostali w wiosce, i prawie wszystkie kobiety, ale to było dawno, jeszcze przed moim czasem, ale nawet za moich czasów, mężczyźni zawsze szli na wojnę albo kraść konie i zostawiali wioskę bez wojowników. Robili tak ponieważ mogli ożenić się tylko wtedy, gdy zaliczą dotknięcie albo dopiero gdy osiągną dwadzieścia pięć lat. A młodzi mężczyźni nie lubią zbyt długo czekać – w tym miejscu Dobra Tarcza uśmiechnęła się.

Mój mężczyzna, Idzie W Przodzie był Lisem (członkiem wojennego stowarzyszenia) i choć my, kobiety nie miałyśmy ta-

kich stowarzyszeń, byliśmy po stronie naszych mężczyzn i moje serce zawsze było silne dla Lisów. Lisy byli miłośnikami wojny, my kobiety jej nie lubiłyśmy, ale nie mogłyśmy nic zrobić, ponieważ nasi mężczyźni ją kochali. Zawsze kilku mężczyzn zginęło i zawsze kilka kobiet musiało żyć ze swymi krewnymi, gdyż kobiety nie są myśliwymi. Z powodu wojny było wtedy wiele sierot, którymi ktoś musiał się opiekować. Wiesz, kiedy tracimy swoich mężczyzn tracimy życie, nasze własne i naszych dzieci. Cieszę się, że wojna odeszła na zawsze. To nie było dobre, o nie.

Jej mowa znaków stała się bardziej sugestywna. (...)

– Powiedz mi o porwanych kobietach, niewolnicach. Czy Wrony brali do niewoli dużo kobiet?

– Tak – odpowiedziała – nawet za moich czasów, a ponieważ dobrze je traktowano, nigdy nie starały się uciekać. Miały te same prawa, co kobiety Wron i nie pracowały ciężiej.

Zauważyłem, że próbowała zaniechać ten temat, więc zapytałam: – Czy Lakoci często porywali kobiety Wron?

– O tak, ale one prawie zawsze wydostały się i wracały do domu, gdyż były tam źle traktowane. Czasami kiedy porwane kobiety Lakotów lub Pikuni były ładne, nasi mężczyźni żenili się z nimi. Może i było to dobre, bo przynosiło nową krew, ja jednak nie lubię, kiedy nasza krew miesza się z inną. Jestem czystej krwi kobietą Wron i zawsze byłam silna i zdrowa.

– Opowiedz mi jakąś historię o niewolnicach – nalegałem.

– Opowiem ci o Kobiecie Pióro, Lakotce, która z setką innych lakockich kobiet wzięta została do niewoli podczas wielkiej wyprawy wojennej Wron.

Setka kobiet siedzących w kręgu, choćby nawet wszystkie były ładne, sprawiała, że mężczyźni myśleli tylko o mięsie, jakie będzie potrzebne do ich nakarmienia – roześmiała się szeroko. – Nasz wódz zaapelował wtedy do mężczyzn, aby każdy wziął po jednej niewolnicy na tak długo, jak tylko może. Po chwili wielki krąg lakockich kobiet stopniał jak śnieg na wiosnę. I tak lakoccy mężczyźni stracili swe kobiety. Dom nie jest dobrym miejscem dla mężczyzny, kiedy nie ma w nim kobiety, a oni je stracili. Nie podobało im się życie w samotności i dlatego robili coś w tej sprawie.

Pewnego dnia wilk [zwładowca – przyp. red.] z Wron zobaczył stojącego na szczycie wysokiego wózra Lakotę. Mówił on znakami do Wrony, że chciałby porozmawiać na naradzie, ponieważ ma coś do powiedzenia.

Wilk odpowiedział mu znakami, aby poszedł do domu wodza: *Poznasz ten dom po świętej fajce zawieszanej nad drzwiami. Zdejmij tę fajkę, trzymaj ją w dłoniach i wejdź do środka. Będziesz bezpieczny.*

Lakota wślizgnął się uważnie do wioski, był cały w strachu aż do chwili, gdy zdjął świętą fajkę. Wtedy wiedząc, że jest bezpieczny, wszedł do domu wodza, gdzie dano mu mięso i trochę jagód do zjedzenia. Kiedy zjadł, nasz wódz zapytał go znakami, po co przyszedł.

– Kiedy byłem małym chłopcem, żyłem dwa lata z twoimi ludźmi – powiedział Lakota w języku Wron. – Lubilem Wrony tak bardzo, że gdy wróciłem do swoich ludzi, tęskniłem za przyjaciółmi, których tu poznałem. Teraz przyszedłem prosić cię o wypuszczenie naszych kobiet. Są nam potrzebne. Damy wam dobre konie, a im ładne ubrania. Słyszysz?

– Tak, słyszę – odpowiedział nasz wódz – ale zanim ci powiem, czy możesz zabrać kobiety, muszę zapytać o to swoich wojowników. Muszą się zgodzić, bo jeśli nie, to kobiety zostaną tutaj.

Obwoływacz przebiegł przez wioskę ogłaszając nowe wieści. Wojownicy zebrali się szybko, żeby posłuchać co ma do powiedzenia ten Lakota. – Dobrze – odpowiedział mu wysyłając cały czas o mięsie, które mu-

sieli by zabić do nakarmienia setki niewolnic. Tym bardziej, że mieli mnóstwo własnych kobiet pod opieką.

– A więc dobrze – oświadczył Srebrny Szczyt, nasz wódz. – Nie wolno jednak Lakotom przyjść po nie dopóki są one w naszej wiosce. I tylko stu mężczyźni może po nie przyjść, ani jeden więcej. Hol

Dziesięć dni później nasze wilki zasygnalizowały: *Wróg nadchodzi*. Nasi wojownicy i bez tego byli gotowi do bitwy, wiedzieli bowiem, że Lakota mógł kłamać, że może przyjść więcej niż stu i zabrać z powrotem nie tylko swoje kobiety, ale także napaść na naszą wioskę.

Na spotkanie Lakotów wyjechało ponad dwustu wojowników. Wszyscy gotowi do walki; tym razem jednak Lakoci nie kłamałi. Przyszło ich dokładnie stu, przyszli zabrać swoje kobiety, a nie walczyć. Kilku z naszych mężczyzn straciło ojców i braci z rąk Lakotów i byli źli. Podeszli zbyt blisko zapominając, że Lakoci byli gośćmi. Srebrny Szczyt, nasz wódz, zagroził karą tym mężczyznom, jeśli nie będą się przyzwolcie zachowywać. To ich uspokoiło i kiedy Lakota, który przyrzekł przyjechać po kobiety mówił, oni go słuchali.

Trzymał on fajkę Lakotów i gdy dojechał do naszej wioski, podszedł prosto do Srebrnego Szczytu i zapytał czy mógłby położyć swoją świętą fajkę na ziemi obok jego, przed wszystkimi ludźmi.

Kiedy obie fajki znalazły się obok siebie, przed wszystkimi ludźmi, Lakoci ułożyli przy nich wysoki stos pięknych koszuł, leggionów, mokasynów i toreb z surowej skóry. Jakś Lakota w bardzo pięknym ubraniu podjechał do niewolnic, które siedziały na ziemi w kręgu i swojej kobiecie dał własne ubranie i cztery dobre konie. Po kolei zabierano wszystkie niewolnice: wszystkie poza jedną. Była to Kobieta Pióro.

Przez cały czas siedziała trochę poza kręgiem, z zakrytą głową, jakby ze wstydu. Żaden Lakota jej nie poprosił. Było mi przykro, kiedy widziałam ją tam samą, jedyną pozostałą z całej setki. Zastanawiałam się, dlaczego żaden mężczyzna nie przyszedł po nią. W końcu lakocka kobieta, jedyna w tej

grupie, podeszła do Kobiety Pióro i położyła jej na ręce małą dziewczynkę. Nie zrozumiałam słów tej kobiety, jakie powiedziała do Kobiety Pióro, ale widziałam, że zostawiła jej dziewczynkę i odeszła.

Kobieta Pióro odkryła swą głowę, wzięła dziewczynkę w ramiona i znowu naciągnęła skórę przysłaniając dziewczynkę i siebie. Obie płakały pod tą skórą.

– Ta kobieta nie zostanie zabrana – usłyszałam Lakotę, który bardzo głośno mówił w języku Wron. – Zabija swego męża. Jest nikczemna. Nikt jej nie chce.

Kobieta Pióro musiała zrozumieć słowa Lakoty w języku Wron, gdyż widziałam jak zgarbiła się jeszcze bardziej, a skóra trzęsła się od jej szlochu, aż w końcu zabrała ją jakaś kobieta Wron.

Lakoci zawarli pokój w naszej wiosce i obiecali, że odejdą poza Wielkie Drzewo i tam pozostaną. To wielkie drzewo znajdowało się nad rzeką Platte. Może stoi tam do dzisiaj, nie wiem. Biali ludzie ścinali takie drzewa i może już go nie ma. Nie umiem ci wytłumaczyć, gdzie ono stało. Było tak olbrzymie, że dałoby się owinać wokół niego kilka skór bizonich. Kiedy mówiliśmy „Wielkie Drzewo” każdy wiedział, gdzie to było i o jakie drzewo chodził. Lakoci także wiedzieli. Zapomnieli oczywiście o tej obietnicy. Przychodzili do naszego kraju jeszcze wiele razy, czasem żeby nas zasmucić – stwierdziła ponuro.

– Kiedyś nienawidziłam Lakotów, ale teraz już nie. Teraz już niczego i nikogo nie nienawidzę. Ale muszę ci powiedzieć coś więcej o Kobiecie Pióro. Ona i jej córka imieniem Przychodzi Do Siebie umarły tutaj, wśród moich ludzi, Wron.

Lakota, który mówił językiem Wron powiedział, że Kobieta Pióro była nikczemna. To prawda. Jednak od czasu, gdy Lakoci jej nie zabrali, zmieniła się. Kiedy Wrony przynosili wioskę, ona szła z córką nieco z tyłu. Pościła, chodziła sama po wzgórzach w nocy, szukając Pomocnika aż wszyscy zaczęli jej współczuć. Chudła od poszczenia, ale dbała aby jej córka zawsze się najała. Nosila ją ze sobą na plecach, gdziekolwiek szła.

Pewnej nocy, kiedy Kobieta Pióro była na wzgórzach, włożyła swą małą dziewczynkę do dziury w skale, a sama usiadła pod gołym niebem i czekała na Pomocnika. Przyszła do niej puma; powiedziała, że wie iż jest jej przykro za to, co zrobiła. Pomoże jej, jeśli ona obieca, że odtąd będzie dla wszystkich miła.

Następnego dnia, kiedy Kobieta Pióro szła za włókami [travois – przyp. red.] z dzieckiem na plecach, jeden z najodważniejszych i najlepszych mężczyzn z plemienia Wron poprosił ją aby przyszła do niego, jako jego siostra i żyła z nim i jego kobietą. Nazywał się Dwie Twarze. On i jego kobieta nie mieli własnych dzieci, więc Kobieta Pióro i jej mała dziewczynka miały teraz dobry dom. Zaczęła być wielką. Jej moc, puma, zawsze jej pomagała. Była jedną z najmilszych kobiet, jakie kiedykolwiek znałam. Widziałam raz, jak wyleczyła chorą kobietę dotykając jej ręki. Pomogła nawet Dwom Twarzom, ucząc go jak sprawić, aby inni ludzie robili to, co sobie życzy, samym tylko patrzeniem na nich. Dwie Twarze zatrzymał tę siłę aż do śmierci, ponieważ zawsze był dobrym człowiekiem.

[przerwa w nagraniu]

Teraz chcę ci opowiedzieć coś o Wielu Dotknięciach (wódz Plenty Coups). On sam nie miałby ochoty o tym mówić. I wcale nie dlatego, że czuł się winny za to, co się zdarzyło tego dnia, o którym ci zaraz opowiem. Nie mógł temu zapobiec, ponieważ tak musiało się stać. Jak zobaczysz, nie życzyły sobie o tym rozmawiać, a nawet myśleć.

– Tak, jestem pewna, że Wiele Dotknięć ma teraz osiemdziesiąt dziewięć lat – zamysliła się podnosząc pięść do blizny na czole. Kiedy miał łaskę dotknąć i był żonaty, byłam jeszcze małą dziewczynką, ale opowiem ci tę historię.

Pewnego razu kobieta imieniem Sledząca Jaiówka straciła swego brata w bitwie z Lakotami – zaczęła. – Oplakiwała go, aż jej przyjaciele zaczęli się obawiać, że umrze. Wojownicy dali jej skóry Lakotów i czarną farbę [znak zwycięstwa] aby pomóc jej zapomnieć o smutku, ale nie wyleczyli jej serca. W końcu mając nadzieję, że będzie

znowu szczęśliwa, obiecała dać Taniec Słońca. Bardzo poważna rzecz, gdy ślubuje to kobieta.

„Obietnicę” lub przysięgę „dania Tańca Słońca” uważano za szczególną prośbę do Najwyższego. Składano Mu ją także w duchu dziękczynienia za już otrzymane łaski lub za pragnienie błogosławieństwa. Osoba, która dawała lub postulowała Taniec Słońca musiała być moralnie czysta.

Pomyśl o jedzeniu i pracy, jaką trzeba włożyć w przygotowanie do Tańca Słońca. Potrzeba ponad stu bizonich ozorów do nakarmienia wojowników mających łaski dotknąć i którzy mogli opowiedzieć swoje historie [wylczyć swe dotknięcia – przyp. red.] oraz bębnić i śpiewać w domu słońca. Owe bizonie ozory trzeba było wysuszyć, wymagało to czterech słonecznych dni. Cztery dni potrzebowali również wojownicy na przygotowanie się do wylczania swych dotknięć w domu słońca.

– Tak – powtórzyła z powagą – to poważna rzecz, złożyć obietnicę Tańca Słońca. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że kilku mężczyzn lub kobiet kłamało.

Jestem przekonana, że był to ostatni raz, gdy nasi ludzie dali Taniec Słońca. Oglądałam przygotowania, jak tylko młody człowiek potrafił. Bizonie ozory były suche, a liście na drzewach w pełni się rozwinęły (sierpień), kiedy kobieta Sledząca Jaiówka wybierała miejsce na swój dom słońca. Był to sam środek naszej wioski, tipi utworzyły wielki krąg na zielonej trawie. Widziałam Kobietę Ciele, jak malowała znaki na czterech tyczkach, pokazując w którym miejscu muszą być związane paskiem wyciętym ze skóry białego bizona. Widziałam mężczyznę, Dużego Bobra jak wiązał tyczki. Wstrzymywałam oddech, gdy podniesiono go wysoko w powietrze. Widziałam, że jeśli pasek puścił, Duży Bóbr spadnie i się zabije.

Wielu mężczyzn unosiło Wielkiego Bobra, który miał związać cztery tyczki. Tyczki wznosiły się w górę i w górę, a na szczycie stał Wielki Bóbr i opowiadał ludziom o swych odważnych czynach i wylczył swe dotknięcia. Nie spadł. Wstrzymałam



Wiele Dotknięć, wielki wódz Wron (1850–1932).

Rys. Thomas E. Malls
wg fotografii zrobionej w Waszyngtonie w 1921 roku.

oddech widząc mężczyzn podnoszących Wielkiego Bobra wysoko w powietrze.

Wtedy poczułam zapach gotowanego mięsa. Cztery stare kobiety gotowały suszone bizonie ozory. Miały twarze pomalowane na czarno, a we włosach wpletę białe puchowe pióra. Zapach gotowanego mięsa przyniósł mi wiatr, a Sledząca Jałówka musiała czuć go o wiele mocniej ode mnie, pościła bowiem przez cztery dni i cztery noce.

Widziałam Kobietę Cielę jak maluje Sledzącą Jałówkę białą gliną. Nawet jej skórzaną sukienkę zrobiła śnieżnobiałą. Kobieta Cielę pracowała bardzo szybko. Sledząca Jałówka, chora od długiej żaloby i słaba od postu, wyglądała źle. Kiedy pomagano jej stopom iść do domu słońca, mężczyzna Imieniem Bez Śmierci próbował ją przekonać by zrezygnowała z czterech dni Tańca. Ona jednak nie posłuchała.

Pamiętam, że z niewiadomych powodów wszyscy czuliśmy smutek. Nasze serca nie śpiewały dla tego Tańca Słońca tak jak zawsze, dla innych. Jednakże Tańiec trwał. Sledząca Jałówka stawała się coraz szczuplejsza i słabsza, a czwartego dnia ledwie mogła wstać do Tańca. Z jej oczu odeszło życie.

Wojownicy przechodzili do domu słońca, gdzie odgrywali swoje role w bitwach, strzelając z łuków, a nawet z karabinów, którymi byli obciążeni od stóp do głów. Rozmawiali głośno i gwałtownie. Ich pokazy były dzikie niczym walczące wilki. Ludzie czuli się jak zbyt mocno napięta cięciwa. Oddychałam tylko w gardle.

Sledząca Jałówka musiała tańczyć cztery razy każdego z czterech dni. Czwartego dnia, kiedy odpoczywała po drugim tańcu, do domu słońca wszedł Wiele Dotknięć z trzema innymi wojownikami. Był już wtedy wielkim wojownikiem. Wszedł rzucając się do ataku. Wiele Dotknięć wydał okrzyk wojenny, wyjął swą broń i strzelił.

Następne dwa zdania, Dobra Tarcza właściwie wyszeptała, do głębi wzruszona.

– Kobieta upadła, jej twarz patrzyła na szczyt domu słońca. Słyszałam jak sapała. Wtedy uciekłam – powiedziała na koniec,

po czym zapanowała cisza. Na palec nawijała narożnik koca.

Sledząca Jałówka zrobiła wielki błąd dając Tańiec Słońca. Nie nadawała się do tego i powinna o tym wiedzieć. Kiedyś zostawiła troje dzieci. Jedno z niemowląt, chłopczyk, zmarło trzy lata wcześniej – ciągnęła jakby zgadzając się z przeznaczeniem.

Wstała i podeszła do okna. – Będzie lepiej jak już pójdę do siebie – stwierdziła nagle. Wiatr znów zastukał okiennicami. □

Przełożyli: Monika Michalska
i Wiesław K. Niedźwiadek

Jest to fragment książki Franka B. Lindermana *PRETTY-SHIELD. Medicine Woman of the Crows* [University of Nebraska Press. Lincoln and London 1974], której pierwsze wydanie ukazało się w 1932 roku pod tytułem *Red Mother*. Opowieść ta należy do serii indiańskich autobiografii, jakie w latach dwudziestych i trzydziestych cieszyły się wielkim powodzeniem. Rok wcześniej ukazała się inna wielka autobiografia świętego człowieka Oglalów, *Mówi Czarny Łoś*, spisana przez Johna G. Neihardta [która wkrótce ukaże się po polsku nakładem wydawnictwa ZYSK i S-ka w Poznaniu]. Relacja Dobrej Tarczy (*Pretty-Shield*) to bodajże pierwsza opowieść o życiu Indian w okresie Wielkiego Przełomu, ukazanego z kobiecej perspektywy. Dobra Tarcza opowiadała swą historię w języku znaków (!) oraz za pośrednictwem tłumacza. Jako jedna z nielicznych kobiet Wron pamiętała czasy przed przybyciem białego człowieka i odejściem bizonów. Opowiada o grach i zabawach, o dzieciństwie i obowiązkach dziewcząt i kobiet - o rozstawianiu wiosek, szyciu odzieży, zbieraniu owoców i warzyw, o gotowaniu. Z jej relacji dowiadujemy się o załotach i małżeństwie, o narodzinach dziecka i jego piastowaniu, o leczniczych snach i opiece nad chorymi, o kobiecych smutkach i radościach wśród mężczyzn, których życie upływało na polowaniach i walce.

Książka ma formę dialogu, opatrzonego tu i ówdzie komentarzem Franka B. Lindermana. Czytelnik spotka się zarówno w wersji angielskiej, jak i w polskim przekładzie z oryginalnymi idiomami języka Wron, np. *mój czas* jako życie, albo *mięso* jako zwierzyzna łowna, na które się poluje i które się zabija. Ma to swój urok, choć po polsku brzmi może dziwnie.

Marek Maciołek

Nareszcie po polsku!

CZARNY ŁOŚ

OPOWIEŚĆ INDIAŃSKIEGO SZAMANA

Dzieje świętego człowieka Siuksów Oglala
opowiedziane poprzez Johna G. Neihardta
(Płomienną Tęczę)

Przełożyli
Marek Maciołek, Marek Nowocień

Zysk i S-ka Wydawnictwo
Poznań 1994

O SPRAWCIE, BY ŻYŁ MÓJ LUD!

Pewien starzec stojący na górze Harneya wznosił ramiona do pustego nieba i wypowiadał te dramatyczne słowa.

Nazywał się Czarny Łoś, był wojownikiem i lekarzem Siuksów Oglala. Brał udział w największych wydarzeniach w historii swego ludu: jako trzynastoletni chłopiec oglądał słynną bitwę z kawalerią gen. Custer'a nad rzeką Little Bighorn, a potem uczestniczył w ostatniej masakrze Siuksów nad strumieniem Wounded Knee w 1890 roku. W tej książce opowiada o wielkiej wizji, jakiej nie doświadczył żaden inny człowiek. Dzięki niej miał przetrwać naród Siuksów.

Czarny Łoś to opowieść o doświadczaniu duchowych wartości, przed jakimi staje człowiek przy wyborze swej drogi życia. Czarny Łoś zauważa, że każdy krok w poznaniu siebie i świata wiąże się nieuchronnie z samozaparciem i samopoświęceniem. Taki uniwersalizm postania Czarnego Łośa stawia je – zdaniem krytyków – obok nauk św. Franciszka, Thoreau czy Gandhiego.

Książka ukaże się w październiku nakładem poznańskiego wydawnictwa ZYSK i S-ka. Zamówienia: Marek Maciołek, TIPI.

COUP czyli ZALICZENIE DOTKNIĘCIA



W dawnych czasach najważniejszym zajęciem niektórych plemion Równin, oczywiście po zaspokojeniu pierwszej potrzeby życiowej, jaką jest pożywienie, była wojna. Spośród wielu wojennych zwyczajów najbardziej znane i najczęściej opisywane są skalpowanie i zaliczanie dotknięć (*coup*). Ogólnie są źle rozumiane i błędnie definiowane w książkach. Ważne jest więc skorygowanie zaistniałych błędów, tym bardziej, że zwyczaje te nie są już praktykowane (...).

W jakimś periodyku, opisującym kolekcję strojów i przedmiotów, znalazły się następujące słowa: *Niegdyś największym osiągnięciem Indianina było wzięcie skalku, jednak wraz z wprowadzeniem broni palnej zabicie człowieka stało się zbyt łatwe i zazwyczaj po bitwie zbierano wiele skalpów, aż trofeum to straciło na wartości. Indianie za znacznie odważniejszy czyn uważali dotknięcie ciała powalonego wroga specjalną łaską dotknąć, i to pod ostrzałem wrogów.*

W *Podręczniku Plemion Indianińskich* (Handbook of Indian Tribes) pod hasłem „dotknięcie” (*coup*) można przeczytać: *Dotknięcie jest zazwyczaj „zaliczeniem”. Zaszczyt zwycięstwa zdobywano za trzy dzielne czyny, mianowicie: zabicie wroga, oskalpowanie wroga lub dotknięcie jako pierwszy żywego lub martwego wroga. Za każdy z nich mężczyzna osiągał tytuł wojownika i miał prawo do wymientania swego czynu publicznie, ale dotknięcie wroga jako pierwszy uważano za czyn największy, gdyż oznaczał bliski kontakt podczas bitwy.*

Pierwszy z tych cytatów, z wyjątkiem ostatniego zdania, jest czystą fantazją. Cytat drugi także jest mylący, ponieważ stawia na równi zabicie, oskalpowanie, jak i dotknięcie nieprzyjaciela. Wśród plemion Równin, które znam bardzo dobrze, a także wśród innych, o których wiem cokolwiek, wejście w bezpośredni kontakt z wrogiem przez dotknięcie go czymś trzymanym w dłoni lub jakąś częścią ciała było najodważniejszym czynem, jaki w ogóle można dokonać.

Zabicie wroga było dobre o tyle, że zmniejszało liczebność wrogiej grupy. Oskalpowanie wroga nie było ważnym czynem, a w żadnym wypadku – specjalnym zaszczy-

tem. Wrogów pozostawiano często nieoskalpowanych, a jeśli kogoś oskalpowano, to skórę z głowy zabierano tylko jako trofeum, coś do pokazania, coś nad czym można potać – dobra rzecz, ale bez specjalnej wagi. Natomiast dotknięcie wroga czymś trzymanym w dłoni, gołą ręką lub jakąś częścią ciała, było dowodem męstwa – czynem, uprawniającym mężczyznę lub chłopca, który tego dokonał, do najwyższego zaszczytu.

Kiedy zabito wroga, wszyscy ci, którzy znajdowali się w pobliżu, starali się dotrzeć do niego jako pierwsi i go dotknąć. Zazwyczaj przez uderzenie ciała czymś trzymanym w dłoni, strzelbą, łukiem, batem lub kijem. Ci, którzy brali udział w tym wyścigu dotykali ciała tyle razy, ile chcieli. Każdy kto chciał mógł oskalpować zabitego wroga. Ani zabicie, ani oskalpowanie nie uważane było za szczególnie zaszczytny czyn. Główny zaszczyt zdobywał mężczyzna, który jako pierwszy dotknął powalonego wroga. Według Indian najodważniejszy czyn, jakiego można dokonać, to zaliczenie dotknięcia, przez dotknięcie lub uderzenie żywego, względnie rannego mężczyzny i pozostawienie go przy życiu, co zdarzało się dosyć często. Przeważnie, gdy w bitwie stawały na przeciw siebie szeregi dwóch przeciwnych plemion, co odważniejszy mężczyzna wyjeżdżał przed swoich ludzi i szarżując na wroga, przejeżdżał przez jego linie, uderzał jednego z nich i powracał do swoich. Kiedy szarżujący mężczyzna został stracony ze swego konia lub jego koń został zabity, wtedy wszyscy członkowie jego wyprawy ruszali na łeb na szyję, by go uratować i wyciągnąć.

Podczas polowania, gdy chłopcy lub młodzi mężczyźni zabili jakieś zwierzę, szczególnie, gdy było ono uważane za nie-

bezpieczne, ruszali ku niemu, by zaliczyć na nim dotknięcie. Opowiadano mi o przypadkach, kiedy młodzi mężczyźni, polując na Równinach na czarnego niedzwiedzia, zabili go strzałami i biegli do niego, by przekonać się komu pierwszemu uda się zaliczyć na nim dotknięcie.

Dowodem męstwa było iść na wojnę nie zabierając ze sobą żadnej broni, którą można by zranić z odległości. Bardziej zaszczytne było mleć włócznią niż łuk, bardziej zaszczytne było mleć toporem czy maczugę wojenną niż włócznię, a najodważniejszym z wszystkiego było pójście do walki z niczym więcej tylko z batem lub długim kijem, zwanym czasem laską dotknąć (w Polsce znanej jako laska uderzeń - przyp. red.). Nigdy natomiast nie słyszałem by wojenną maczugę z kamienną głownią nazywano laską dotknąć.

Wśród Szejenów – tak jak i wśród innych plemion Równin – zdarzało się często, że człowiek długo chory i bez nadziei na wyzdrowienie lub jeśli spotkało go jakieś wielkie niepowodzenie i nie chciał dłużej żyć deklarował, że zamierza oddać swe ciało wrogom. W praktyce oznaczało to popełnienie samobójstwa poprzez atak na wroga bez odpowiedniego uzbrojenia lub ochrony, a więc robiąc jakąś bardzo odważną rzecz i zostając przy tym zabitym. Był to oczywiście najbardziej honorowy sposób umierania, o wiele bardziej niż zastrzelenie się, zabicie nożem czy powieszenie. Samobójstwo przez powieszenie się, zdarzało się zazwyczaj tylko u dziewcząt, które spotkał zawód miłosny. Samouniściewienie nie przynosiło jednak żadnej hańby.

W Montanie żyje obecnie [artykuł napisany został w 1910 roku – przyp. red.] mężczyzna, który w wieku siedemnastu czy osiemnastu lat po długiej chorobie, która zdawała się nie mieć końca, zadeklarował swemu ojcu, że pragnie dać swe ciało wrogowi. Ojciec wyraził na to zgodę, zaopatrzył syna w swą najsilniejszą moc i wysłał chłopca z wyprawą na południe, uzbrojonego jedynie w mały toporek. Gdy wyprawa dotarła do kraju wroga, odkryła dwóch nieprzyjaciół z plemienia Omaha, którzy aku-

rat wracali z polowania. Obydwaj posiadali broń palną. Szejenowie ruszyli na nich, a chłopiec, który nazywał się Droga Słońca i otrzymał od swego ojca najlepszego wojennego konia, prowadził. Dogonił jednego z wrogów, gdy ten odwrócił się i próbował go zestrzelić, ale karabin pękł. Droga Słońca swym małym toporkiem strącił go z konia i popędził dalej, doganiając drugiego wroga. Ten odwrócił się i strzelił do niego, ale Droga Słońca pochylił się, unikając w ten sposób kuli i strącił Omahę z konia. Obydwóch zabili Szejenowie, którzy jechali za Droga Słońca. Młody człowiek spełnił swój ślub. Otrzymał wielkie pochwały od członków wyprawy, a po powrocie do wioski – od całego plemienia. Wyzdrowiał i w wieku siedemdziesięciu czterech czy siedemdziesięciu pięciu lat ciągle opowiada swych młodzińskich przygód.

Szejenowie zaliczali dotknięcie na wrogu trzy razy, to znaczy, że trzech ludzi mogło dotknąć ciała i otrzymać za to honory zależne od porządku, w którym zostało to zrobione. Następne dotknięcia się nie liczyły. Arapaho dotykali cztery razy. Podczas bitwy członkowie jednego plemienia dotykali wroga, nie zwracając uwagi na to, co robili w tej samej bitwie członkowie plemienia sprzymierzonego. I tak, w bitwie, w której brali udział Szejenowie i Arapaho ten sam człowiek mógł być dotknięty siedem razy. Podczas bitwy nad Północną Rio Grande, w której Szejenowie, Arapaho, Komancze, Kiowa i Apacze pokonali Ute, zaliczanie dotknięć przez różne plemiona stwarzało straszliwe zamieszanie.

Gdy Szejen dotykał wroga, krzyczał *ah hath'* i mówił *Jestem pierwszy*. Drugi krzyczał *Jestem drugi* i tak też czynił trzeci.

To oczywiście, że w zamieszaniu dużej bitwy, które często miały miejsce, mogło zdarzyć się wiele pomyłek i wielu mężczyzn mogło sądzić, że są uprawnieni do zaszczytów, o których inni myśleli, że należą się im. Po zakończonej walce zwycięska grupa śladowa więc w kręgu i rozpalała ognisko z bizonich odchodów (na Równinach nie było nic innego do palenia – przyp. red.). Na ziemi, tuż koło ogniska umieszczano fajkę

i strzelbę. Ludzie zainteresowani podchodzili do ogniska i dotykając najpierw fajki, wymieniali swe czyny, mówiąc *Jestem pierwszy, drugi* lub *trzeci* w zależności od konkretnego przypadku. Ktoś mógł wtedy zakwestionować tę wypowiedź i powiedzieć *Nie, to ja uderzyłem go pierwszy*, i sprawę tak długo omawiano, aż ustalono różnice w czasie.

Często takie dyskusje bywały bardzo gorące. Przypominam sobie jedną taką rozmowę, która była wręcz zażarta. Zabity został Siuks i Babtiste Bahele, pół krwi Skidi i zarazem ich młodszy wódz oraz mężczyzna nie mający specjalnego znaczenia ścigali się do powalonego wroga, by zapewnić sobie honor dotknięcia go jako pierwszy. Babtiste miał szybszego konia i dojechał do ciała Siuksa pierwszy, ale gdy już pochylił się nad nim, by je dotknąć, koń spłoszył się i skręcił, tak że nie dotknął ciała tym, co trzymał w dłoni, a chłopiec, który podązał za nim, przejechał tuż nad leżącym ciałem wroga i je uderzył. Babtiste argumentował dość wiarygodnie; twierdził, że dojechał do ciała pierwszy i był uprawniony do przyznania mu dotknięcia, ale przyznał, że tak naprawdę nie dotknął ciała, choć zrobiłby to, gdyby jego koń się nie spłoszył. Nie było żadnej różnicy zdań wśród Indian, którzy jednomyślnie przyznali zaszczyt chłopcu.

Pewnego razu dwóch młodych Szejenów ścigało się, aby dotknąć powalonego wroga. Ich konie biegły łeb w łeb, ale jeden młotem wyprzedzał drugiego. Ten, który miał przewagę uzbrojony był w szablę, ten drugi, jadący prawie równo z nim, pochylił się żeby dotknąć wroga włócznią. Szabla jest krótsza od włóczni i bardzo prawdopodobnie prowadzący otrzymałby drugie dotknięcie, ale pochylił się i gdy mijali ciało, chwycił włócznią towarzysza, lekko ją pchnął i dotknął nią wroga. Choć właściciel włóczni ciągle ją trzymał, to ponieważ jego dłoń znajdowała się za dłonią kompana na jej drzewcu, otrzymał tylko drugie dotknięcie. Jeżeli mężczyzna dotykał wroga włócznią, to każdy, kto dotknął lub uderzył ją w mo-



Wojownik Wron z ozdobną laską dotknąć.

mencie gdy dotykała ona wroga, otrzymywał następne dotknięcie.

Jeśli ktoś był przekonany, że coś zrobił, to mocno walczył o swoje prawa i w tym sporze mógł liczyć na pomoc swych przyjaciół, a przede wszystkim krewnych. Gdy zachodziła różnica zdań, istniały formalne sposoby ustalenia prawdy. U Szejenów stanowczym stwierdzeniem lub przysięgą, gdy miało się złożyć oświadczenie było potarcie fajki lub wskazanie na święte strzały i wypowiedzenie: *Strzały, słyszycie mnie, zrobiłem to (lub nie zrobiłem)*. Czarne Stopy zazwyczaj przesuwali dłoń nad cybuchem, oświadczając w ten sposób, że ich opowieść jest równie prosta jak dziura w cybuchu.

U Szejenów, jeśli miały miejsce spory, kto dotknął wroga, zaliczając pierwsze dotknięcie, mogła być egzekwowana jeszcze jedna, bardziej formalna przysięga. Na czaszce bliznowatym czarnym pasem pomiędzy rogami aż do nosa, oczodoły i ich obrzeża malowano na czerwono, na prawej kości policzkowej czarną, okrągłą kropkę symbolizującą słońce, a na lewej czerwony półksiężyc, oczodoły i nos wypełniano świeżą zieloną trawą. Czaszka reprezentowała święty dom. Na przeciw niej kładziono strzelbę i cztery strzały, które reprezentowały cztery święte strzały. Ci, którzy mieli przysięgać musieli umieścić swe dłonie na strzałach i wtedy złożyć swe oświadczenie. Na ziemi obok strzał i strzelby umieszczano także małe patyki, długie na około trzy-



Typowa laska dotknięć z wierzbowego kija.

dzieści centymetrów. Ich liczba odpowiadała liczbie wrogów zabitych w bitwie, o której dyskutowano.

Po bitwie, w której panowało zamieszanie i brało udział wielu ludzi, zawsze miały miejsce dyskusje i takie przysięgi zdarzały się bardzo często, prawie zawsze. Zbierało się wtedy wiele mężczyzn i kobiet, by być świadkami ceremonii. Wodzowie nakazywali obwoływaczowi zwołać mężczyzn, którzy rościli sobie prawo do honorów, w takim porządku w jakim deklarowali dotknięcie wroga, a więc najpierw mężczyznę, który rościł sobie prawo do pierwszego dotknięcia, potem tego, który twierdził, że dotknął wroga jako drugi, itd. Mężczyzna składający przysięgę podchodził do świętych przedmiotów i stojąc nad nimi, wyciągał swe ręce ku niebu, mówiąc: *Ma i yun asts' ni ah'tu* (Moce duchowe, słuchajcie mnie). Potem pochylając się, kładł dłonie na przedmiotach i mówił: *Na nit'shu* (Dotknąłem go). Po złożeniu przysięgi, często dodawał: *Jeżeli skłamałem, mam nadzieję, że zostanę wkrótce zastrzelony*.

Opowiadał ze szczegółami jak szarżował na wroga i jak go uderzył. Potem wzywani byli ludzie, którzy zaliczyli na tym wrogu drugie dotknięcie, a potem trzecie i każdy szczegółowo opowiadał swą historię. Potem wzywani byli mężczyźni, którzy dotknęli pierwszy drugiego wroga, a za nim podążali ci, którzy zaliczyli drugie i trzecie dotknięcie na tej samej osobie. Wszyscy roszczący sobie prawa do honorów opowiadali swe historie w taki sam sposób.

Jeżeli w takich okolicznościach mężczyzna złożył fałszywe oświadczenie, uważano za pewne, że wkrótce umrze, on lub ktoś z jego rodziny. Szejenowie bali się tej przysięgi i jeżeli jakiś mężczyzna miał wątpliwości, czy dokonał tego co twierdził, było bardzo prawdopodobne, że nie pojawił się, gdy wywołane będzie jego imię. Z drugiej strony - wskutek błędu - każdy z mężczyzn mógł wystarczająco szczerze deklarować, że to on dotknął wroga jako pierwszy. Ktoś mógł też przysięgać fałszywie. W 1862 roku każdy z dwóch spierających się mężczyzn deklarował, że pierwszy dotknął wroga.

W rok później, gdy Szejenowie stawiali święty dom (*medicine lodge*) nad rzeką Republican, jeden z mężczyzn zmarł i wszyscy wtedy mówili i wierzyli w to, że ten mężczyzna rok temu skłamał.

Ci, którzy z bliska widzieli jak dwóch mężczyzn usiłowało dotknąć wroga, mogli powiedzieć do jednego z nich: *Nie jesteśmy pewni co ty zrobiłeś, ale to co on zrobił widzieliśmy wyraźnie*. W ten sposób mogli komuś zagrozić drogę do honoru z zaliczenia pierwszego dotknięcia. Jak już powiedziano, krewni każdego ze spierających się brali w tym aktywny udział.

Gdy na jednym ze ściganych wrogów, który został w tyle lub został oddzielony od swej grupy, zostało trzy razy zaliczone dotknięcie, ale uniknął on poważnej rany i dostał się z powrotem do swej grupy, to znowu mogły być na nim zaliczane dotknięcia.

Jako przykład osobliwości związanych z praktyką dotykania wroga według reguł szejeńskich weźmy przypadek Śpiącego Niedźwiedzia, wojownika Kłowa nazywanego przez Szejenów Żółtą Koszulą (od jego koszuli wojennej) w wielkiej bitwie, która miała miejsce nad strumieniem Wilka w 1838 roku pomiędzy sprzymierzonymi Kłowa, Komanczami i Apaczami z jednej strony, a Szejenami i Arapaho z drugiej. Na Żółtą Koszulę zaliczono dotknięcie dziewięć razy. Trzy razy został dotknięty, gdy dokonano ataku na obóz Kłowa, gdzie Żółta Koszula bez poważniejszych ran walczył pieszko. Później dostał się do wioski, dosiadł konia i powrócił do bitwy, gdzie został znowu dotknięty trzy razy, tym razem na końskim grzbiecie. W chwilę potem zabito mu konia, a on sam złamał sobie nogę. Usiadł na ziemi i walczył, strzelając z łuku, wtedy ponownie został dotknięty trzy razy i w końcu zabity. Tak więc zaliczono na nim dziewięć dotknięć, z których wszystkie były dozwolone. Innym razem zaliczono dziewięć dotknięć na pewnym Paunisie, który nie został zabity i ostatecznie uciekł.

Jeżeli przez jakieś niedopatrzenie, trzecie dotknięcie nie zostało na wrogu formal-

nie zaliczone, za takie dotknięcie uznawano akt zdjęcia (grabież) mokasynów, ponieważ człowiek, który je zdejmował dotykał ciała zmarłego. Dotknięcie mogło być oczywiście zaliczane zarówno na mężczyźnie, jak i kobiecie czy dziecku. Każdy wzięty do niewoli najpierw był dotykany.

Były także inne dokonania uznawane za dostatecznie godne uwagi, ale w żaden sposób nie były porównywalne z honorem dotknięcia wroga. U Czarnych Stóp także dzielne czyny to wzięcie jeńca, zdobycie tarczy, strzelby, łuku, strzał lub świętej fajki, przy czym każdemu takiemu czynowi może towarzyszyć dotknięcie wroga.

Wśród tego samego ludu wysoce ceniono zwyciężenie wroga pieszko. W dawnych tańcach różnych stowarzyszeń często odbijano na czerwono ślad dłoni na każdej stronie szyi konia, co wraz z innymi rysunkami na piersi reprezentowało kontakt ciała konia z wrogiem.

Wśród Szejenów takim dzielnym czynem było porwanie konia lub koni. Jeśli ktoś dotnął wroga i przy tym zabrał mu tarczę lub strzelbę, zawsze o tym wspomniano. Uderzono by w bęben za dotknięcie wroga, uderzono by ponownie za zdobycie tarczy, potem za zdobycie strzelby i - jeśli mężczyzna oskalpował zmarłego - za wzięcie skalu.

Wierzę, że głęboki szacunek, jakim cieszył się akt dotknięcia wroga jest pozostałością starego uczucia, które przeważało zanim Indianie zaczęli używać pocisków, gdy zobowiązani byli walczyć twarzą w twarz, maczując palcami lub zastrzonymi kijami. W takich przypadkach tylko ci, którzy się zwarli bezpośrednio mogli zadać ranę i zdobyć chwałę. Gdy zaczęto stosować strzały, prawdopodobnie ciągle wierzono, że lepiej jest spotkać się z nieprzyjacielem twarzą w twarz niż zabić go z odległości. □

Fragment artykułu *Coup and Scalp among the Plains Indians* George'a B. Grinnella zamieszczonego w czasopiśmie *American Anthropologist*, N.S. 12 z 1910 roku przetłumaczył Dariusz Pohl.

WRONIE „CUKIERKI”

W dawnych czasach Indianie Wrony znani byli szeroko z układania swych włosów w przeróżne wymyślne fryzury. Zwyczaj ten, według znawców, Wrony przejęli od swych przyjaciół Nez Perce w połowie XIX wieku. Do końca tego stulecia rozwinęli wiele odmian, ale prawie wszystkie obejmowały krótkie grzywki zaczesane do tyłu, a najczęściej postawione na sztorc. Było to tak charakterystyczne dla dawnych Wron, że nawet w mowie znaków plemię to określane jest przez przyłożenie dłoni zewnętrzną stroną do czoła, palcami imitującymi stojącą grzywkę. Przy szczególnych okazjach, aby usztywnić nieco grzywkę, włosy malowano.

Na starych fotografiach z 1900 roku widać Wrony z bardzo długimi włosami splecionymi w rzędy małych warkoczyków, które opadały na plecy i do których przymocowywano często ozdobę z frędzlami podobną do ozdób Czarnych Stóp.

Grubsze warkoczki pleciono po bokach, przed lub za uszami i często owijano je różnymi paskami materiału lub skóry wydry, bobra albo norki. Tuż przy skroniach pleciono dwa cienutkie warkoczki, na które nawlekano niezwykłą ozdobę, tzw. „cukierki”.

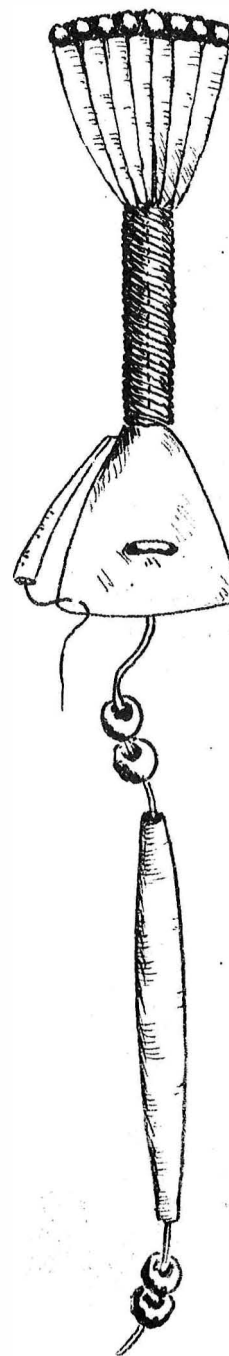
Aby wykonać taką ozdobę potrzebne będą następujące rzeczy: kawałek surowej skóry, trochę drutu (najlepiej z mosiądzu lub miedzi) o grubości mniej więcej 1,5-2 mm), 28-30 muszelek *dentalium* ewentualnie białe koraliki), 6 kości rurek tzw. *hair pipes* (mogą być drewniane), 12 dużych mosiężnych koralików (ewentualnie mogą być szklane), długi rzemień, 2 cienkie i długie patyczki oraz pióra.



„cukierki”



Najbardziej popularny sposób czesania włosów wśród mężczyzn z plemienia Wron.



Na początku zrobić dwie sprężynki owijając drut na ołówek, tak by ich długość wynosiła mniej więcej 3,5-6 cm. Następnie z surowej skóry wyciąć dwa odpowiednie elementy namoczyć by zmiękły i przełożyć przez sprężynkę. Do jednego z wystających końców przymocować długi rzemień, a na niego nawlec trzy kości na przemian z mosiężnymi koralikami. Tradycyjnie zawsze były trzy kości rurek. Na końcu rzemienia zrobić supełek lub przymocować pęk cienkich pasków ze skóry gronostaja (może być pasek czerwonego sukna lub flaneli). Do dwóch cienkich patyczków, długości mniej więcej 7-9 cm dołączyć z jednej strony pióra, a z drugiej delikatnie zaostriżyć, jak pokazano na rysunku. Owinać je sznurem koralików. Na samej górze zakłada się często pęczek różnych małych piórek sroki, jastrzębia, sowy, wrony, orla, itp. Popularne były też pióra barwione. Te dwa patyczki nie powinny być takie same, jeden powinien być większy od drugiego.



Zakładając te ozdoby, należy zmoczyć warkoczki włosów i przełożyć go przez sprężynkę, przesuwając ozdobę maksymalnie w górę. Wkładając zaostriżony patyczek, zablokujemy warkocz, który nie będzie się wysuwał nawet pod ciężarem kości rurek. Mimo wszystko nie powinno się wykonywać żywiołowych tańców, gdyż długie rzemień z kości rurekami mogą się poplątać.

miś

Norman H. Russell

NORMAN H. RUSSELL - ur. 1921 w Big Stone Gap, w stanie Wirginia. Poeta, botanik, pracownik uniwersytecki. Pochodzi z narodu Cherokee. Wydał kilkanaście prac z dziedziny botaniki, a także wiele artykułów prasowych. Pierwszy tomik jego wierszy *At the Zoo* ukazał się w 1969. W sumie ogłosił piętnaście zbiorów poezji, m.in. *Indian Thoughts: I Am Old, Open the Flower* i *Collected Poems*.

słowa

nie słowa pieśni
tworzą modlitwę
ale sposób ich wypowiadania
trafia do uszu boga

to jak między
tobą i mną
nie słowa jakie
do siebie mówimy
ale jak je wypowiadamy

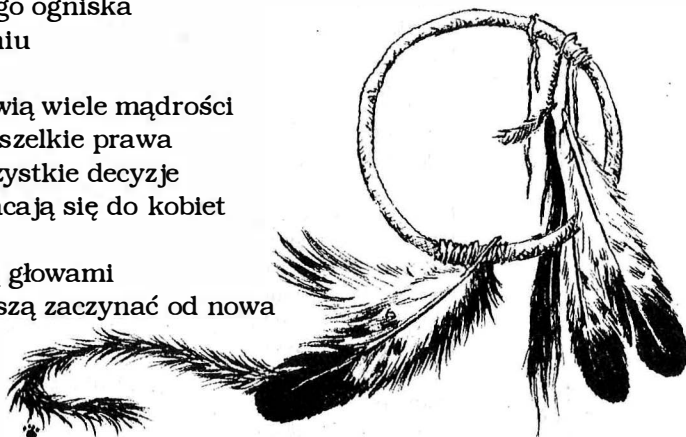
dobra pieśń rośnie
nieustannie podczas śpiewu
dobra mowa przychodzi
ze śpiewającego serca

dwa kręgi

są dwa kręgi
krąg mężczyzn w centrum
dokoła wielkiego ogniska
w zimnym cieniu

mężczyźni mówią wiele mądrości
ustanawiają wszelkie prawa
podejmują wszystkie decyzje
a potem odwracają się do kobiet

jeśli potrząsną głowami
mężczyźni muszą zaczynać od nowa



burza gradowa

dzisiaj rozgniewany bóg
przysłał lód jak kamienie
które odbijają się od trawy
które tłuką mi głowę

unoszę koc
klecę namiot
żeby chronić głowę
przed gradem kamieni

mój koń wśród drzew
zwiesza łeb w dół
żał mi go
on nie ma koca

grad wędruje dalej
śpiewając po ziemi jak na bębnie
koń podniósł swe jasne oczy
słońce suszy mi koc



pośłanie deszczu

gdy byłem dzieckiem
byłem wiewiórką sółką lisem
i rozmawiałem z nimi
ich językiem
wspinałem się po ich drzewach
kopałem ich nory
i znałem smak
każdej trawy i kamienia
znaczenie słońca
przesłanie nocy

dzisiaj jestem stary
i już skończona
moja praca i walka
nie wstydę się
iść samotnie do lasu
i znów rozmawiać
z wiewiórką lisem i ptakiem
smakować świat
czytać znaczenie wiatru
przesłanie deszczu

wiersze przełożył
MAŁEK MAGIOŁEK

Trudne powroty

Jesse Trzy Niedźwiedzie (w tej roli wystąpił Herbie Barnes) to młody Indianin Anishinabe, którego poznajemy podczas brawurowej zabawy na rowerze z kierownicą ciężarówki. Potem nie jest już tak beztrudno. Czekają go kolejne przeprowadzki do nowego miejsca zamieszkania. Przez dziesięć lat tułał się po wielkich miastach od jednej rodziny zastępczej do drugiej. Teraz wreszcie, staraniem Tubylczego Komitetu Repatriacyjnego, ma wrócić do rodzinnego rezerwatu Anishinabe w kanadyjskiej prowincji Manitoba, gdzie zamieszkuje z dziadkiem (Gordon Tootoosis), którego właściwie w ogóle nie zna. Dziadek pił nalogowo, rzadko bywał w domu, w końcu trafił do więzienia. Typowa biografia...

Powrót jest trudny. Po latach tułaczki Jesse jest nieufny, cyniczny i zepsuty przez cywilizację: z magnetofonem pod pachą, wychowany na coca-coli (nie pije herbaty) – nie potrafił sobie znaleźć miejsca w skromnym domostwie swego dziadka. Skrzywiony w państwowym systemie edukacyjnym stroni od wszystkiego co indiańskie, co tubylcze. Ma kompleks niższości. Nie zna swego rodzinnego języka, nie interesuje go plemienna historia i kultura. Woli rower i magnetofon, marzy o wyścigu kolarskim we Francji.

Jego powrót jest trudny i dla pozostałych mieszkańców rezerwatu. Oni też nie wiedzą, czy Jesse'go da się uratować, czy odnajdzie tu swe korzenie. Tym bardziej, że obarczony jest rodzinną tragedią, powracającą w jego snach.

Film „Jeździec z zaświatów” (Spirit Rider)¹ w reżyserii Michaela Scotta ukazuje flasko polityki asymilacyjnej, jaką ciągle jeszcze lansuje się w Ameryce Północnej wobec Indian. Jej rezultaty okazują się opłakane: destrukcja więzi społecznych, alkoholizm, rozbite rodziny, nieczyści dzieci, które wywozi się do rodzin zastępczych tysiące

kilometrów od rodzinnego domu. Nie tak jest jednak przesłanie filmu. Przed tubylcami stoi szansa powrotu do dawnej świetności, może nie w sensie dosłownym, ale za to nie mniej znaczącym.

Rezerwat „Anishinabe Manitoo-Waaboob” uległ wielkim przeobrażeniom. Wstępujemy w dobrze zorganizowaną społeczność, opartą na tradycyjnych wartościach (*Tu jest rezerwat. Tutaj wszyscy jesteście rodziną*). Tubylcy zrezygnowali już z biernej postawy oczekiwania na decyzje Wielkiego Białego Ojca. Postanowili sami zadbać o swój rezerwat, o godną przyszłość dla swych dzieci i wnuków.

Przed wszystkim utworzono szkołę (w roli nauczycielki, Marilyn – Tantoo Cardinal), w której młodzi ludzie, wyrzuci ze swego dziedzictwa, poznają własną kulturę, historię i język, uczą się szacunku do wartości tubylczego życia. *Nasz kraj jest tak silny jak jego najsłabsze ognisko* – mówi Paul (Adam Beach), inny młody Anishinabe, który już przed dwoma laty wrócił do rezerwatu i odbył swą „duchową podróż”. Jego postawa pokazuje skądinąd, że nie można też przechodzić z jednej skrajności w drugą, od totalnego lekceważenia do indiańskości na siłę...

Wielką rolę integrującą pełni w rezerwacie radio, prowadzone przez Vernę (Graham Greene) i stanowiące forum dyskusyjne. Dowiadujemy się, że mieszkańcy rezerwatu hodoją swe własne stado bizonów, co jest kolejnym znakiem przemian. To pewnie uproszczenie, ale niemożliwe byłoby odrodzenie się Indian bez odrodzenia bizonów. Coś każe nam wiązać tych dwóch: Indianin i bizon.

Społeczność rezerwatu idzie też w stronę ekologii. Oto Albert (Tom Jackson) wprowadza, z trudem co prawda, technologię produkcji biogazu, przychylnego środowisku i taniego, co też ma istotne znaczenie w ubogiej społeczności tubylczej.

Do takiego rezerwatu trafia Jesse i choć początki są trudne, pełne buntu i negacji, to stopniowo, nieśmiało wręcz odkrywa, że to jest jego miejsce, że jego tułaczka dobiega końca, że dopiero tutaj może zrealizować swe przeznaczenie. Musi jednak odbyć

inną wędrówkę, nie tylko przesłać się z wyścigówki na konia, ale także świadomie, mentalnie i w duchu wrócić do swoich, do tego, co ma we krwi. Oswaja na pół dzikiego konia, uczy się na nim jeździć aby wziąć udział w okręgowym wyścigu. Powoli akceptuje tubylczy styl życia i jego rekwiizyty (wisłorek czy kapelusz). Oczywiście, jak na dobry film przystało, pomaga mu w tym muza, Camilla (Michelle St. John). Całość kończy się barwnym Pow-wow.

Film oparto na powieści *Winners* („Zwyczajnie znanej pisarki Mary-Ellen Lang Colura. W tej historii zwycięzcami są wszyscy, cała tubylcza wspólnota. Może trochę razić ten nachalny i chwilałami naiwny dydaktyzm. Trzeba jednak wziąć pod uwagę sytuację, w jakiej znajdują się ludy tubylcze w Kanadzie i USA. To jakby ostatni dzwonek przed podjęciem próby powrotu do starej kultury, wzbogaconej o najnowsze doświadczenia. Wydaje się, że film ten powstał na wyraźne zapotrzebowanie tubylczych wspólnot. Mówi o sprawach bolesnych, nie unika trudnych tematów, ale jednocześnie wskazuje metody działania, kierunki przemian. Bardzo mocno podkreśla rolę każdego człowieka. Liczą się wszyscy, nawet ci najsłabsi, a może przede wszystkim oni – co kapitalnie podsumował przywołany wcześniej Paul. Siłą rzeczy film taki musi być dydaktyczny, wręcz instruktażowy, bo tylko wtedy może pobudzić lokalne społeczności do działania.

Duch Szalonego Konia – film dokumentalny prod. USA (1992).

Właściwie nic więcej o tym filmie nie wiadomo. Telewizja Polska wyświetliła go w połowie lipca opatrując polskim tytułem i zdawkową informacją o opracowaniu tekstu. Nie wiemy, kto jest reżyserem ani producentem filmu. To dość istotne, bo dla osób zainteresowanych film ten stanowi materiał źródłowy do najnowszej historii Indian amerykańskich, a zwłaszcza Siuksów i rezerwatu Pine Ridge.

Oprowadzał nas po nim Milo Yellow Hair, uczestnik Euromeedingu w Malmö (Szwecja, 1988), opowiadając o duchowej więzi Siuksów z ziemią, ze świętymi Czarnymi Wzgórzami, profanowanymi co roku

Już sam film zdaje się potwierdzać tę tezę. Przy okazji wywiadu z Tantoo Cardinal (*Tawacin* nr 20/1992) pisałem o organizowaniu się indiańskich artystów, o powstawaniu zespołów filmowych, teatralnych czy agencji promujących tubylczych aktorów. W omawianym tu filmie większość aktorów to Indianie, biali zagrali tylko w epizodach. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że i wśród producentów filmu są tubylcy (Owl Television Ltd i Credo Group Ltd).

Film powstał w 1993[1] roku, zdjęcia kręcono w całości na terenie Manitoby, m.in. w rezerwach Fort Alexander i Swan Lake.

Na koniec słowa uznania dla Telewizji Katowicką, która wyświetliła ten film w maju. Teraz wypada tylko liczyć na emisję ogólnopolską.

Marek Maciołek

P.S. Dziękuję p. Janowi Szturcowi za udostępnienie kasety wideo, co umożliwiło mi napisanie powyższej recenzji.

1. Szkoda, że dla wersji polskiej wymyślono taki efektarski, aczkolwiek całkowicie chybiony tytuł.

SPIRIT RIDER (Jeździec z zaświatów). Kanada 1993. Reż. Michael Scott. Scen. David Young i Jean Stawarz. Zdj. Richard A. Stringer. Występują: Herbie Barnes (Jesse), Gordon Tootoosis (Joe), Michelle St. John (Camilla), Tantoo Cardinal (Marilyn), Tom Jackson (Albert), Adam Beach (Paul) i Graham Greene (Vern).

przez turystykę i złoty harleyowców. Opowieść o żywym duchu Szalonego Konia przeplata się z wydarzeniami lat siedemdziesiątych (zajęcie waszyngtońskiego Biura do Spraw Indian, okupacja Wounded Knee, sprawa Leonarda Peltiera), które znałem wcześniej z gazet, książek i fotografii. Teraz zobaczyłem ich filmowy zapis. Dramatyczne, przejmujące sceny. Nie sądziłem, że ktoś to wtedy kręcił, a jednak.

Wojownicy Russell Means, cyniczny Jack Wilson, opanowany Dennis Banks i Leonard Peltier, rzeczowy Vine Deloria Jr. i Charlotte Black Elk.

Obraz codziennej nędzy i piękne plenery. Ważny, dobry film.

MM

II Kontynentalne Zgromadzenie Ludów, Narodów i Organizacji Tubylczych CONIC

Z udziałem ponad trzystu tubylczych delegatów, zwolenników i obserwatorów w dniach 8-13 października 1993 roku odbył się II Kontynentalne Zgromadzenie Ludów, Narodów i Organizacji Tubylczych. Miało ono miejsce w Ceremonialnym Centrum Otomi u ludzi Natho Nahnu, w Temoaya w Meksyku. Organizatorem Zgromadzenia była Komisja Koordynująca Indiankich Narodów i Organizacji z Kontynentu (CONIC). Zakresem podejmowanych tematów nawiązywało ono do Pierwszego Kontynentalnego Zgromadzenia Ludów Tubylczych, które odbyło się w lipcu 1990 roku w Quito w Ekwadorze (zob. **Tawacin** nr 18/1992). Głównym celem było utworzenie autonomicznego i zjednoczonego ruchu tubylczego na kontynencie Abya Yala [Ameryka Południowa]. Powołano Radę Tymczasową odpowiedzialną za zorganizowanie Trzeciego Zgromadzenia, które zaplanowano na jesień 1994 roku. Do tego czasu CONIC ma zostać formalnie ukonstytuowane, a także mają powstać regionalne grupy robocze, opracowujące konkretne problemy ludów tubylczych.

Członkami Rady Tymczasowej są: Rada Wszystkich Ziemi (Consejo de Todas las Tierras) - Mapuche, Chile; Stowarzyszenie Indiankich Kobiet Boliwii (Coordinadora de Mujeres Indigenas de Bolivia); Konfederacja Narodów Tubylczych Ekwadoru - CONAIE (Confederación de Nacionalidades Indigenas de Ecuador); Rada Organizacji Majowskich Gwatemali (Consejo de Organizaciones Mayas de Guatemala); Kunas Unidas por Naguana Panama, Niezależny Front Narodów Indiankich z Meksyku (Frente Independiente de Pueblos Indios); Tubylcza Rada Guerrero z Meksyku (Consejo Indigena de Guerrero); TONATIERA i SAIIC z USA.

DEKLARACJA CONIC Z TEMOAYA 1993

501 lat po europejskiej inwazji, zebrały się Ludy i Narody tubylcze z Abya Yala. Ich śpiew spowodował drżenie serca Ziemi, dając siłę naszym głosom, oświecając nasze myśli, wzmacniając ciepło świętego ognia.

Codziennie pozdrawialiśmy naszego Ojca Słońce i witaliśmy nowy dzień. Jego energia zjednoczyła nas i dawała siłę do kontynuacji naszej pracy. Wypracowanie porozumienia zajęło nam 5 dni rozmów i dyskusji. Z bólem i nadzieją, z radością i złością, wypracowaliśmy następujące ustalenia na przyszłość:

I. Duchowość i tradycja

Duchowość naszych kultur i wiele tradycyjnych form, w których się ona wyraża, jest podstawowym składnikiem naszej tożsamości. Wielki Duch, który chroni wszystko na Abya Yala, jednoczy nas, opiekuje się nami i daje nam środki do zbudowania pomostu nad dzielącymi nas różnicami w wzajemnym poszanowaniu. Uważamy, że podstawowym warunkiem zachowania duchowości i tradycji naszych Narodów jest regeneracja naszych terytoriów oraz uzdrowienie i odnowa świętej Matki Ziemi poprzez przywrócenie jej zielonej pokrywy i używanie raczej środkami organicznymi niż chemicznymi, które trują ją i bezczeszczą.

Zgadza się, że konieczne jest karmienie, rozwój i wzmacnianie korzeni naszej tożsamości, dlatego podstawowe znaczenie ma praca nad poprawą naszego życia

i stosunków z naszym Ojcem Słońce, naszą Matką Ziemią, naszym Dziadkiem Ogniem i naszą Babką Księżyc.

Domagamy się od narodów-państw uznania naszych praktyk religijnych, używania tradycyjnych i obrzędowych lekarstw, a także kokli, pejetlu, grzybów i innych roślin o świętej i zdrowotnej wartości.

II. Matka Ziemia, terytorium i harmonijny rozwój

Jednym z podstawowych porozumień osiągniętych na Szczycie Ziemi, który odbył się w 1992 roku w Brazylii było ostrzeżenie wezwanie, które zjednoczyło wszystkie kraje i społeczne kręgi świata przed wielkim niebezpieczeństwem, które dotyka naszą planetę. Ponadto wyrażono pełne uznanie dla poddźwignięcia i podtrzymania technologii, które ludy tubylcze stosowały przez tysiące lat.

Ekologia dla naszych ludzi nie jest tylko stwierdzeniem, ani wymysłem świeżej daty. To droga, której uczyli nas nasi dziadkowie:

Jeśli chcesz ściąć kilka drzew, aby na tym miejscu zasiać zboże, musisz prosić duchy lasu o pozwolenie i uczyć się etapów odnowy, żeby pomóc odbudować to, co zniszczyłeś. Musisz prosić o pozwolenie i złożyć ofiary Matce Ziemi, zanim natniesz rany na jej ciele ostrzem swych narzędzi. Musisz uczyć się kalendarza rolniczego dla dobra innych istot, które towarzyszą ci w życiu.

Żeby wyeliminować korzenie grabieży i ludobójstwa, których doświadczają nasze ludy, trzeba podjąć się głębokiej reorganizacji terytorialnej na szczeblu kontynentalnym, której podmiotem byłoby określenie i uznanie autonomicznych terytoriów.

Jako tubylcze Narody odrzucamy neoliberalny model ekonomiczny, jaki rodzi jeszcze większą biedę, głód i degradację środowiska. Jesteśmy przekonani o potrzebie nawiązania kontaktu z różnymi sektorami społeczeństwa, w celu połączenia wysiłków stworzenia nowych modeli ekonomicznych, nie opierających się na konsumpcji i degradacji ekologicznej.

Rezolucja

Aby poprzeć promocję harmonijnego rozwoju, opartego na wspólnotach, z całą stanowczością odrzucamy i przeciwstawiamy się układowi GATT i NAFTA z następujących powodów:

- kolidują z Naturą,
- eksploatacja Indiankich siły roboczej,
- pogwałcenie praw własności, tubylczej wiedzy i szacunku dla rodzimej flory i fauny,
- wrogość do samostanowienia i praw tubylców,
- likwidacja małych powierzchni rolniczych na rzecz wielonarodowego przemysłu rolniczego,
- dopuszczalność eksploatacji dziecięcej siły roboczej,
- brak dostępu naszych dzieci do podstawowego szkolnictwa i równych szans w międzynarodowym współzawodnictwie

Protestujemy i wyrażamy swą konsternację na propozycję gromadzenia ludzkich genów jako części Projektu Urozmaicenia Genetyki Człowieka. Żądamy wstrzymania tego Projektu i zaprzestania kolekcji genów ludności tubylczej, jak również wycofania się rządu USA z zamiaru ujawnienia genów kobiety Guayani i innych podobnych. Żądamy również by GATT nie zatwierdzał żadnych umów związanych z patentowaniem ludzkich genów lub innych form życia.

III. Samostanowienie, ustawodawstwo i prawa tubylców

Pierwsze Kontynentalne Zgromadzenie w Quito w 1990 roku stanowi ważny punkt odniesienia do aktualnej walki prowadzonej przez ludy tubylcze Abya Yala. Tam wypracowaliśmy Deklarację z Quito, która do dzisiaj pozostaje aktualna.

Powiedzieliśmy: „Jesteśmy teraz w pełni świadomi, że nasze ostateczne wyzwolenie może się wyrazić jedynie poprzez pełną realizację naszego samookreślenia”. To samookreślenie musiwyrażać się poprzez pełną **autonomię naszych Ludów. Autonomia ta nie może istnieć bez Indiankiego samorządu i Indiankiej kontroli nad naszymi terytoriami**”.

Aby stało się to realne, utrzymywaliśmy, że **konieczne są głębokie przeobrażenia na poziomie państwa i społeczeństwa; konieczne jest stworzenie nowego narodu.**

Ratyfikowaliśmy rozumienie nas jako Ludów, Tubylczych Narodów i Pierwszych Mieszkańców tego kontynentu. Rościliśmy sobie prawo do uznania nas w ten sposób przez społeczność międzynarodową i Narody Zjednoczone (ONZ). Opór państw przeciwko uznaniu naszych praw ma swoje podstawowe źródło w samym układzie Narod-Państwo, który z natury rzeczy wyklucza nasze Narody. Nie wystarcza sama deklaracja „wielokulturowy” lub „wieloetniczny”, ponieważ nie to nie zmienia. Trzeba budować wielonarodowe państwa, które będą uznawały współistnienie wielu Narodów w obrębie Państwa.

CONIC musi działać w kierunku zagwarantowania ludom tubylczym udziału w spotkaniach prowadzonych przez ONZ na temat naszych praw i zabiegać tam o rozważenie propozycji przekształcenia struktury celem włączenia tubylczych narodów jako pełnoprawnych członków.

IV. Kobiety, rodzina i społeczeństwo

Od niepamiętnych czasów rodzina była dla naszych ludów podstawową jednostką organizacji społecznej. Rola mężczyzny i kobiet, młodzieży i starszyny była różna w zależności od funkcji, ale równa co do ważności. Historyczne położenie naszych ludzi obarczało kobiety wielką odpowiedzialnością, ale dzięki naszej sile i wierze zachowało się dużo naszych tradycji i zwyczajów. Kobiety odgrywają ważną rolę jako przywódczyni i doradczynie w sprawach duchowych, będąc źródłem naszej siły.

Rola kobiety w kontynuacji kultury była olbrzymia. Kładziono duży nacisk na potrzebę edukacji naszych dzieci poprzez rodzinę, we własnej kulturze i rodzimym języku. Zaleca się, abyśmy budowali jeszcze bliższe stosunki z naszymi dziećmi, żeby przekazywać im swoją duchową siłę i zapobiegać wyobcowaniu i dystansowaniu ich od rodzimych kultur. Dlatego ważne jest aby w roku 1994, ogłoszonym przez ONZ Rokiem Rodziny, skierować fundusze

na umocnienie tubylczych rodzin. Musimy wspierać tubylcze organizacje kobiece przy współudziale rodzin i społeczeństwa.

V. Edukacja, kultura i młodzież

Uważamy za konieczne promowanie systemu edukacyjnego zgodnego z filozofią i widzeniem świata naszych ludów. Kształtowanie czyjejs tożsamości jest podstawową częścią procesu edukacji dzieci i młodzieży. Tożsamość ta zaczyna się w domu, ale musi być ugruntowana w szkole.

VI. Organizacja - CONIC

Jednym z najważniejszych osiągnięć ostatnich trzech lat, od czasu Pierwszego Kontynentalnego Zgromadzenia w Quito, jest nasilenie tubylczej walki w każdym z naszych krajów.

Obecnie społeczność międzynarodowa zaczęła uważać nasze żądania za naturalne i możemy potwierdzić, że zdobyliśmy ważnych sojuszników popierających nasze prawo do samostanowienia.

Musimy stworzyć bardziej skuteczne sposoby komunikacji między kontynentalnym ruchem tubylczym a rdzennymi wspólnotami i organizacjami. Musimy być również bardziej skuteczni w posługiwaniu się narodowym i międzynarodowym prawem. Innym postępowaniem, jakie osiągnęliśmy w ostatnich trzech latach jako CONIC to zacieśnienie związków między organizacjami z Północy i Południa. Daje nam to dużo radości, ponieważ oznacza to spełnienie się proroctwa naszych przodków: ponownego spotkania Orla i Kondora. W ten sposób stworzyliśmy podstawę do rzeczywistej tubylczej jedności kontynentalnej.

W końcu musimy zauważyć, że II Zgromadzenie odbywało się pod szczególnym znakiem stałej obecności duchowej. Obecność wielu dziadków, starszych i duchowych przywódców napawa wielką energią do dalszej pracy i przyczynia się do odniesienia sukcesu w naszych działaniach.

Na podstawie biuletynu SAHC przetłumaczył Roman Bala

Wiesław Kołeczek

INDIANIE MAPUCHE A PRZEMYSŁ ENERGETYCZNY

Wierzmy w siłę ziemi i określamy swoją tożsamość na podstawie miejsca zamieszkania. Tak więc mamy następujące grupy *Pehu-enche* – Ludzie Gór, *Lafkenche* – Ludzie Morza, *Nagche* – Ludzie Nizin, *Huenteche* – Ludzie Pola i *Huilliche* – Ludzie Południa. Cały nasz byt związany jest z naturą. Jeśli nie byłoby araukarii (najbardziej rozpowszechniona roślina lokalna), jeśli nie byłoby morza, drzew, rzek, jezior i żelaza – nie byłoby też Mapuchów.

Nelly Ayenao
Consejo de Todas las Tierras¹

Mapuche (wym. *mapucze*) to najliczniejsza grupa tubylcza w Chile, stanowiąca około 10% całej populacji kraju. Mapuche zamieszkują głównie prowincje Bio-Bio, Malleco, Cautin, Valdivia, Osorno oraz Llanquihue. Prawie wszyscy Mapuche (99%) posługują się własnym językiem. Nazwa *Mapuche* oznacza *Ludzie Ziemi*, co podkreśla związek z ziemią, którą ten lud zamieszkuje. Podobnie jak wiele innych ludów tubylczych, Mapuche musieli podjąć nierówną walkę z przybyszami z Europy w obronie swoich ziem. Mimo traktatów zawartych z Hiszpanami (m.in. traktat o nienaruszalności granicy na rzece Bio-Bio, pięćset kilometrów na południe od stolicy Santiago), a następnie z rządami chilijskimi, gwarantujących Indianom niezbywalne prawo do ziemi, w posłaniu Mapuchów znajduje się obecnie mniej niż połowa ziem ich przodków. W wyniku tzw. *Titulos de Merced* (Akty Łaski) nadanych w latach 1883-1929, każdemu osadnikowi przypadło w udziale 500

-600 hektarów ziemi, natomiast Mapuche otrzymali tylko po 6 hektarów. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy członków plemienia pozostało w ogóle bez ziemi. W rezultacie tych niesprawiedliwych przydziałów Mapuche stracili tradycyjną zbiorową własność ziemi i częściowo zintegrowali się z chilijskim społeczeństwem. Upadek wspólnego posiadania plemiennych ziem przypięczętowany został aktem nr 4169 z 1927 roku, zgodnie z którym wszystkie ziemie miały być podzielone na małe rodzinne działki (Indianom obca była taka forma własności ziemi, która tradycyjnie należała do plemienia jako całości, a nie do poszczególnych rodzin czy jednostek). W ostatnich latach, po obaleniu dyktatury Pinocheta, pojawiły się w chilijskim parlamencie inicjatywy zmierzające do uregulowania praw ziemskich, ale nie satysfakcjonują one Indian, gdyż oparte są na konstytucyjnej odmowie traktowania Mapuchów jako narodu. Konstytucja Chile nie uznaje tubylców za odrębne grupy etniczne. Mapuche prowadzą aktywną działalność w obronie swoich praw, koordynowaną przez Consejo de Todas las Tierras (Rada Wszystkich Ziemi), w skład której wchodzi przedstawiciele poszczególnych grup plemienia. Szukając międzynarodowego poparcia uczestniczą w spotkaniach poświęconych prawom człowieka. Przedstawiciel Mapuchów, Aucan Huilcaman zamierzał niedawno kandydować w wyborach do parlamentu, ale odmówiono mu tego prawa, motywując to tym, iż w przeszłości był karany (wzięto go za działalność na rzecz swego plemienia).

Pehuenche i rzeka Bio-Bio

W czasach najazdu hiszpańskich kolonizatorów Pehuenchowie (wym. *peuen-chowle*) byli myśliwymi i zbieraczami. Zamieszkiwali chilijską i argentyńską część Andów. Ziemie ich rozciągały się od miasta Talca w Chile i San Rafael w Argentynie na północy do Jeziora Icalma i Alumino na południu. Dzisiaj, chilijska część Pehuenchów obejmuje tereny między Jeziorą Icalma na południu, a rzeką Bio-Bio na północy. Militarna okupacja ziem Mapuchów pod koniec ubiegłego wieku spowodowała, że tylko niewielka część terytorium Pehuenchów została uznana – mocą *Titulos de Merced* – jako ich własność. Większość Pehuenchów musiała zadowolić się pracą na ziemi państwowej lub należącej do prywatnych posiadaczy. Głównym źródłem utrzymania Pehuenchów jest rolnictwo oparte na uprawie ziemniaków, pszenicy i innych zbóż, hodowli owiec i kóz. Bardzo istotne znaczenie mają również *pinones*, owoce świętego drzewa Pehuenchów *Araucaria araucaria*. Dzięki geograficznej izolacji Pehuenchowie zachowali sporo podstawowych elementów swojej kultury, m.in. własny język, strukturę plemienną (w której najwyższym autorytetem cieszą się tzw. *loncos* czyli kacykwie) oraz wierzenia i obrzędy.

Rzeka Bio-Bio, która dla Pehuenchów ma duże znaczenie nie tylko ekonomiczne, ale także religijne – bierze swój początek w Andach i spływa do Pacyfiku. Jej długość wynosi 380 kilometrów. Górna część rzeki tworzy specyficzny ekosystem, jedyny tego rodzaju w całym Chile. Biologiczna różnorodność i brak przemysłu na tym terenie powodują, że nleznane jest tu jeszcze zanieczyszczenie. Na terenach tych występuje wiele gatunków zwierząt i roślin (na przykład 24 gatunki ssaków i 192 gatunki drzew).

Rezerwaty, slumsy... czyli na początku była elektrownia

W marcu 1993 roku ENDESA, sprywatyzowana za rządów Pinocheta kompania energetyczna, rozpoczęła w górnym biegu rzeki Bio-Bio budowę elektrowni wodnej, pierwszej z sześciu zaplanowanych. Budowa tych 6 elektrowni o łącznej mocy 2.680 MW oznacza zalanie terenów o powierzchni około dwudziestu dwóch tysięcy hektarów. Pangué – pierwsza elektrownia, ma zaspokoić 12% zapotrzebowania na energię w Chile. Jest to więc przedsięwzięcie o bardzo istotnym znaczeniu dla gospodarki państwa. Jakże jednak będą konsekwencje dla środowiska naturalnego i życia tubylców?

Ocenia się, że budowa elektrowni wpłynie na pogorszenie się jakości wody w rzece. Zaburzony zostanie również naturalny przepływ wody, co pociągnie za sobą negatywne konsekwencje dla organizmów żyjących w rzece i na jej brzegach.

Budowa elektrowni to również nowy rozdział w historii rabowania ziem i surowców naturalnych należących do Pehuenchów. Duża część populacji Indian będzie zmuszona do opuszczenia obecnie zamieszkiwanych terenów, które zostaną zalane. Część Indian zostanie zatrudniona przy budowach, co może wpłynąć na zmianę ich tradycyjnego sposobu życia. Nie wiadomo czy po kilkuletniej pracy będą w stanie wrócić do dawnych zajęć, czy raczej udadzą się do miast w poszukiwaniu zarobku. W konsekwencji może to doprowadzić do rozluźnienia więzi plemiennych i utraty tożsamości. Później pozostają już tylko slumsy wielkich miast, alkohol i nędza... no i oczywiście pogarda.

Wiesław Kołeczek

Przypisy:

1. Fragment wywiadu z Nelly Ayenao, zamieszczonego we włoskim piśmie poświęconym Indianom *TEPEE* nr 16.

Materiał opracowano na podstawie broszury *Sol & Moon* wydanej przez norweską grupę ekologiczną.

Waldemar Kuligowski

Misja

Kościół katolicki uważa pięćsetną rocznicę dopłynięcia Kolumba do Ameryki za proroczą datę przybycia na ten kontynent prawdziwej wiary i pragnie wykorzystać ją jako wielką szansę ukazania na nowo tamtejszym narodom światła Ewangelii. Odwołuje się w tym kontekście już do dnia narodzin admirała, któremu rodzice nadali imię Krzysztof. Twierdzi się, iż natchnęła ich Opatrzność, bowiem *Christoforos* to „niosący Chrystusa”. A przy tym wielki Genueńczyk pierwszą odkrytą przez siebie na drugiej półkuli wyspę nazwał San Salvador czyli Święty Zbawiciel. W uznaniu zasług Kolumba w krzewieniu katolicyzmu sześciuset biskupów na Soborze Watykańskim II (1965) wniosło o jego beatyfikację, lecz nim ów wniosek rozpatrzone obrady zostały zawieszone.

W toku dyskusji o skutkach październikowego przybycia do brzegów Guanahani spróbujmy przyjrzeć się misjonarskiej ścieżce w „odkrywaniu” Ameryki.

Początkowo do Indii Zachodnich docierali pojedynczy księża, głównie dominikanie i franciszkanie. Zakładali niewielkie, rozproszone ośrodki misyjne, gdzie starali się przekonać tubylców do katolickich prawd wiary i europejskich metod uprawy ziemi. Byli jednak misjonarze nie tylko organizatorami, ale i obserwatorami. Właściwie tylko oni – jedyni biali intelektualiści zauważali bogactwo rodzimych kultur i ich szybki, katastrofalny upadek. Już w 1511 roku dominikanin Antonio de Montesinos wygłosił na Hiszpanii płomienne kazanie oskarżając Hiszpanów o okrutne traktowanie Indian: *Azaliż nie są ludźmi?* Bezprecedensowe wystąpienie wywołało burzę na dworze królewskim. W przyspieszonym trybie powołano komisję prawniczą, która 27 grudnia 1512 roku ustanowiła tzw. Prawa z Burgos

mówiące, iż Indianie mają prawo do wolności osobistej i ludzkiego traktowania.

Takich działań podejmowanych przez duchownych było więcej. Postacią, która przeszła do historii, jest Bartolome de Las Casas, autor *Krótkiej relacji o wyniszczeniu Indian*. Jego zaangażowanie po stronie tubylców doprowadziło do tego, iż zaproponował przymuszanie do pracy podbitych w „sprawiedliwej wojnie” Afrykanów. Najlepsze chęci ojca Bartolome stworzyły w historii Ameryki nowy, krwawy rozdział. Kilka lat później Las Casas pisał bezsilny: *odnosi się do nich [czarnych niewolników] wszystko, co dotyczy Indian*.

Ten dziwak, za jakiego ówczesnie go uważano, próbował pomóc pierwszym Amerykanom także w inny sposób. W roku 1520 utworzył w Cumana na Wybrzeżu Perła indiański kraj zamknięty dla białych. Niesety – do wyznaczonego przezeń obszaru wdzierał się łowcy niewolników, co wywołało zbrojny opór tubylców. Dzięki temu udało się przedsięwzięcie, które miało wywołać nie oddziały państwa, lecz

O wiele dalej w swej polityce na rzecz Indian posunął się inny światły, choć o wiele mniej znany, dominikanin Vasco de Quiroga, pracujący wśród Tarasków w Patzucaro. Rozpoczął on budowę *hospitales* pełniących funkcję szpitali, przytułku dla dzieci, warsztatów rzemieślniczych, a także siedzib samorządów tubylczych. De Quiroga upatrywał bowiem szansy etnicznego przetrwania konkwisty przez Indian w kolektywnej własności niepodzielnych terenów należących do wspólnot. Był przekonany, że czołowe w tym znaczenie odgrywają zagadnienia ekonomiczne, w realizacji których przewyższył znacznie Las Casas. (Część jego *hospitales* stoi do dzisiaj).

W interesie rdzennej ludności Ameryki występowały również naczelne organy Kościoła katolickiego. Najważniejszym dokumentem była zapewne bulla papieża Juliusza II z 1512 roku dowodząca, że Indianie są potomkami Adama i Ewy, a zatem należą do rodzaju ludzkiego (w co powątpiewało wielu ludzi, także duchownych, a nawet trzy wieki później Darwin). Można przypominąć jeszcze groźbę kolejnego papieża Pawła III, który zapowiedział, iż obrzuci klątwą każdego, kto pozbawi Indian własności i wolności. Groźba ta nie została spełniona ani razu.

Część misjonarzy rozumiała, że dotarcie do świadomości tubylców może być skuteczniejsze poprzez poznanie ich kultury, w tym języka. Właśnie dzięki nim powstały pierwsze słowniki *nahuatl* i *kecua*, co przyczyniło się do zachowania ich pierwotnej formy.

Wielkie zainteresowanie wywoływały wśród pierwszych księży w Ameryce nieznane obyczaje, obrzędy, cały tok życia religijnego i świeckiego. Jednym z najwytrwalszych ich badaczy okazał się ojciec Bernardino de Sahagun, który opanował język Majów przez kilkadziesiąt lat poznawał ich kulturę i pozostawił niezmiernie cenną, dwunastotomową *Historię ogólną Nowej Hiszpanii*, której wartość trudno dziś przecenić. Interesujące dane zebrał także w swoich *Dziejach Jukatana* Diego de Landa. Wymieniając jednak nazwisko tego franciszkanina nie sposób nie wspomnieć o drugiej stronie jego działalności, a szerzej – o innym obliczu wszystkich ówczesnych misjonarskich poczyni.

Diego de Landa objął misję w Iznamal zbudowaną na szczycie prekolumbijskiej piramidy, gdzie pod groźbą chłosty zbiorowo chrzczono Indian, po czym przymusowo osiedlano ich w pobliżu i zmuszano do pracy na rzecz zakonu. Pustoszały w ten sposób stare osady i miejscowa kultura, a rodną ludność dziesiątkowały choroby. Za swą gorliwość w wykorzenianiu wielowiekowej kultury de Landa mianowany został biskupem. Pozostaje jednakże jeszcze jeden spektakularny czyn, którego dokonał:

oto w roku 1562 rozkazał spalić kilka tysięcy materialnych zabytków z Jukatana, w tym 27 beczennych kodeksów Majów – po to, aby Indianie zapomnieli o swej pogańskiej przeszłości.

I to straszliwe rozdwojenie stało się cechą stałą poczyni misjonarzy w Ameryce. Bo ratowali, ochraniali i współczuli, a jednocześnie dokonywali spustoszeń największych, gdyż czynionych w warstwie mentalnej. To właśnie tak utrudnia, a mnie samemu nawet uniemożliwia, podsumowanie działalności księży, tym bardziej, iż taki stan rzeczy trwa nadal.

Próbując zakreślić tak różnorodny obszar działań pierwszych misji nie można oczywiście pominąć działalności jezuitów. Po zatwierdzeniu w 1540 roku reguły tego zakonu, co miesiąc z Kadyksu i Lizbony przybywali w ślad za konkwistadorami księża spod znaku Towarzystwa Jezusowego. Energiczni, prężni i przeważnie inaczej rozumując swoje posłannictwo, dążyli do opanowania rozległych terenów i uzyskania nad nimi jurysdykcji. W 1608 roku pierwszy jezuita pojawił się w Paragwaju, a już trzy lata później król Hiszpanii zgodził się na utworzenie imperium obejmującego cały dzisiejszy Paragwaj, północną Argentynę, Urugwaj i część Boliwii. Wokół budynków misyjnych w szczytowym okresie zamieszkiwało ponad pół miliona Indian.

I w tym przypadku, nie pierwszy raz i nie ostatni, akcję jezuitów postrzegać należy dwojako: tysiące Indian znajdowało w nich ochronę przed portugalskimi łowcami niewolników, ale jednocześnie wykorzystywano ich do darmowej pracy na ogromnych plantacjach *yerba mate*, z których zyski uczyniły jezuitów niezmiernie bogatym zakonem.

Aby rozważania doprowadzić do końca, spróbujmy przyjrzeć się dzisiejszym misjom. Jednym z najdrastyczniejszych współczesnych przykładów jest ośrodek misyjny Vaje Colorado w Wenezueli. Ten zwarty kompleks budynków zajmował Letni Uniwersytet Językowy – grupa fundamentalistycznych protestantów pracujących wśród tamtejszych Indian. Misjonarze rekrutują-

cy się z zachowawczych, środkowych stanów USA wprowadzili w życie własną koncepcję raję dla tubylczych Amerykanów. Można powiedzieć, iż przeprowadzali panindianizację Indian. Oto nakazali im nosić długie włosy i wpinać w nie ptasie pióra. Tak wystrojeni śladali później przy drodze do Puerto Ayacucho i zachowując kamienną twarz oraz stosowne milczenie, sprzedawali turystom plecione koszyki. Aby uczynić wenezuelskich autochtonów jeszcze prawdziwszymi Indianami, uczono ich jedynie języka angielskiego. Gdy w końcu władze zakazały protestantom działalności na terenie swego kraju, okazało się, że podległe im grupy są zupełnie nieprzystosowane do egzystowania w społeczeństwie. Owi misjonarze nie tylko odcięli Indianom ich korzenie kulturowe, ale równocześnie zamknęli wstęp do świata latynoskiego.

Organizacje protestanckie są również jedną z najaktywniejszych grup operujących w Amazonii. Ich ekspansywna działalność wspierana ogromnymi pieniędzmi doprowadza do zagłady wiele tubylczych kultur. Docierając jako pierwsi do małych, izolowanych społeczności, misjonarze protestanci przynoszą z sobą choroby, które często uśmiercają 80% danej populacji. Pozostają osoby najsilniejsze, to znaczy w wieku do 15 lat, które nie zdążyły poznać własnych wzorów kulturowych, nie ma natomiast ludzi mogących im je przekazać. I w ten sposób umiera cała kultura. Te niefrasobliwe działania, będące w istocie etnობójstwem, nie powstrzymują protestantów wierzących, że jedynie z popiołu i krwi może powstać nowa jakość oraz dążących jedynie do jednostkowego zbawienia Indian dokonywanego poprzez chrzest.

Aby nie być jednostronnym przytoczę teraz zupełnie inny, choć także znamienity fakt, ilustrujący stosunki misjonarzy – tubylcy. Przebywający u Bororo ojciec Rudolf Lunkenbein doprowadził do likwidacji znienawidzonych internatów dla dzieci, wprowadził język plemien-

ny do programu nauczania, dzięki czemu zaczęto ponownie tolerować rodzime obrzędy. Przetłumaczył także zgodę władz na pomiar ziemi, która prawnie przysługując Indianom została zagarnięta przez okolicznych latyfundystów. To stało się początkiem tragedii. 15 lipca 1976 roku na stację misyjną Meruri przyjechało sześć samochodów z sześćdziesięcioma uzbrojonymi ludźmi. W trakcie gwałtownej kłótni misjonarz tłumaczył, iż osoby tracące ziemię na rzecz Bororo, otrzymają odszkodowanie, ale mimo to został zabity razem ze swoim indiańskim przyjacielem. Z braku świadków, sprawców morderstwa zwolniono. Po jakimś czasie pomiary ziemi i tak zostały przeprowadzone.

I jeszcze jedno, warte przypomnienia, wydarzenie. Podczas podróży do Brazylii w 1991 roku papież Jan Paweł II spotkał się w Cuiabie z delegacją żyjących tam Indian. Otrzymał wtedy dwa dokumenty, pierwszy mówił o pięciu wiekach cierpienia, drugi oskarżał Kościół o współudział w eksterminacji ludów i kultur tubylczych.

Ten fakt potwierdza moje wrażenie szalonej dwutorowości w działaniach dawnych i współczesnych misji. Czy Indianie powinni być misjonarzom wdzięczni? Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć, tak jak nie mogę jednowymiarowo ocenić roli Kościoła w podboju i odkrywaniu Ameryki. Może więc najlepiej poprzestać na stwierdzeniu, że niejednorodna moralnie praca misjonarzy wśród Indian była i jest tak samo nieuchronna jak odkrycie Nowego Świata i najprzeróżniejsze tego skutki.

Neodparcie pojawia się jeszcze jedna refleksja. Czy działania misjonarzy, polegające na mniej lub bardziej świadomym dewaluowaniu wartości starej kultury i jej atrybutów oraz propagowaniu i zastępowaniu ich obcymi elementami, są etyczne? I czy moralnym można nazwać nakłanianie do porzucenia własnego transcendentnego, mentalno-religijnego dziedzictwa?

Waldemar Kuligowski

MISJONARZ W INDIAŃSKIM ŚWIECIE

Z ks. Wojciechem Wojtkowiakiem, OMT, misjonarzem Indian
w Kolumbii Brytyjskiej rozmawia Mirosława Kruszewska

– Jak to się stało, że został ksiądz misjonarzem Indian północnoamerykańskich?

– Oblaci Niepokalanej posiadają polską wiceprowincję w Kanadzie, gdzie pracują dla emigracji polskiej. Na początku mego pobytu w 1977 roku pracowałem w duszpasterstwie polonijnym. Zawsze jednak interesowali mnie Indianie. W przeszłości kilka razy prosiłem przełożonych o pozwolenie pracy wśród Indian, ale otrzymywałem odmowną odpowiedź, uzasadnioną brakiem polskich kapłanów w parafiach dla Polaków. I wreszcie w sierpniu 1991 roku zostałem przydzielony w ramach prowincji św. Pawła do ekipy misjonarskiej pracującej w centrum Kolumbii Brytyjskiej, w regionie zwanym Cariboo-Chilcotin Country. Prowincja św. Pawła obejmuje swym zasięgiem obszar Kolumbii Brytyjskiej, Alberty i Yukonu. (Oblaci w Kanadzie podzieleni są na 10 prowincji). Ekipa misjonarska, w której pracuję, liczy trzech ojców i jednego brata, który jest gospodarzem naszej bazy, położonej około 20 km. od miasta Williams Lake. Mój sektor obejmuje Williams Lake i tereny w promieniu około 80 km od miasta. Mieszkam w rezerwacie położonym około 15 km od Williams Lake, o słodkiej nazwie Sugar Cane (trzcina cukrowa). Mam dom o wymiarach 6 na 9 metrów opalany drzewem, prąd i telefon. Obsługuję regularnie sześć rezerwatów. Każdej niedzieli mam dwie lub trzy msze św. Sporo więc jeżdżę samochodem, a drogi tu kamieniste, nie zawsze bezpieczne dla opon. Latem jest dużo kurzu, a zimą śnieg i ślisko.

– Jaki jest stosunek Indian do instytucji kościelnej?

– W dzisiejszych czasach, gdy cywilizacja dostała się do Indian niezbyt na nią

przygotowanych, środowisko to jest w wielu wypadkach bardzo negatywnie nastawione wobec Kościoła. Teraz Indianie zaczynają się głośniejszy odzywać i walczyć o swoje prawa. Oczywiście, atakują wszystkich, którzy w jakiś sposób byli sprawcami pozbawienia ich ziemi, języka, kultury. Mają pretensje do wszystkich, którzy przyszli do Kanady. Oczywiście, to są wielkie dyskusje, które mają swój wpływ na Indian. Dostaje się przy okazji i Kościołowi, który został postawiony na tej samej linii co kolonizatorzy.

– Czy miał ksiądz kłopoty z zaakceptowaniem przez Indian?

– Zaakceptowanie w rezerwacie indiańskim nie jest sprawą prostą. Człowiek jest właściwie zamknięty w swoim małym domku i musi przejść „kwarantannę” – czas potrzebny Indianom na rozszyfrowanie misjonarza: obserwują, starają się poznać człowieka. Przy całej swej różnorodności Indianie mają jedną cechę wspólną: gdy przyjdzie ktoś nowy, aby wśród nich zamieszkać, to najpierw patrzą, obserwują, nie mówią wiele, chcą poznać przybysza, nim mu zaufają. Ten czas wyczekiwania nie omija także misjonarzy. Kiedy się zmieniła misjonarz, to budowanie wspólnoty „parafialnej” w rezerwacie zaczyna się od początku. Ten proces trwa czasem i kilka miesięcy. Stają się rozmowni dopiero wtedy, gdy czują, że mogą zaufać. Na początku byłem tym trochę zaskoczony, ale teraz nawet mi się to podoba.

Trzeba sobie wszystko samemu zorganizować. Począwszy od gotowania, prania, sprzątanía. Mimo że mieszkam się wśród ludzi, to jest bardzo wiele czasu, który trzeba sobie zagospodarować samemu.

Trzeba zawsze pamiętać, aby było pod dostatkiem drzewa do palenia w piecu. Noce są tu bardzo zimne. Jeśli nie napalę w piecu, to budzę się skostniały o 4 czy 5 nad ranem. Wtedy trzeba podjąć szybką decyzję: zerwać się, zrobić ogień, kawę i rozpocząć dzień bardzo wcześnie. Jak jest mało drzewa, trzeba jechać do lasu i sobie je przywieźć. A potem pozostaje czas na codzienną mszę św., czytanie i odwiedzanie starszych w rezerwach z komunią św. Indianie bardzo sobie cenią takie odwiedziny.

– Czy w parafii ksiądz istnieje aktywne życie parafialne?

– Aktywności indiańskich parafii (rezerwatów) nie mierzy się kategoriami „białych” parafii. Właściwie organizacje kościelne nie istnieją. Co najwyżej grupa starająca się o potrzeby samego kościoła: świeczki, kwiaty, światło, sprzątaníe. Aktywność parafialna to liczba ludzi na mszy św., udział w sakramentach, wołanie do starszych i chorych z komunią świętą.

– Sprawa młodzieży...

– Młodzież stoi z daleka od Kościoła – w większości. Oczywiście, nie omijają jej poważne problemy współczesności: alkohol, narkotyki, aborcja... Małżeństwa to sprawa dosyć luźna.

– Czy nadal kultywowane są też stare wierzenia?

– Istnieją i one, ale ta sprawa nie jest tak jawna. Ludzie o tym nie mówią wiele. Wierzą w tzw. złą medycynę. W moim rejonie raczej nie dochodzi – przynajmniej ja nie pamiętam – do jakiegóś jawnej konfrontacji z religią chrześcijańską.

– Czy ma ksiądz specjalne problemy w chrystianizacji Indian?

– Nie można powiedzieć, aby Indianie byli specjalnie trudni na nauczanie nauki Chrystusa. Zresztą, ich pierwotne wierzenia są w wielu wypadkach jakby wyjęte wraz z nauką Chrystusa ze wspólnej szuflady. Jest dużo analogii.

– Kontynent północnoamerykański jest zdominowany przez protestantyzm. Jaki jest procent katolików wśród Indian?

– W moim rejonie prawie 90% to katolicy. Choć spotyka się i inne wyznania. In-

dianie nie zmieniają za bardzo swojej religii. Jaki misjonarz przyszedł pierwszy sto lat temu, takiemu wyznaniu w większości są wierni.

– Czy w swojej parafii wprowadził ksiądz jakieś polskie nabożeństwa?

– Nie i nie mam zamiaru. Indianie posiadają tyle zwyczajów, które warto wprowadzić do liturgii, że nie ma miejsca na polskie. Właśnie za to, za wprowadzanie obcych, europejskich zwyczajów do mentalności Indian, mają oni do nas uzasadnione pretensje. Zrozumiał to Ojciec Św. Jan Paweł II, który przemawiając do Indian powiedział, że mają oni prawo do swoich zwyczajów w liturgii jaka jest dla nich w Kościele sprawowana.

– Jak wygląda sprawa powołań kapłanów wśród Indian północnoamerykańskich?

– Powołania to trudna sprawa. W przeszłości ponoć był święcony jeden czy drugi, ale ostatek tylko na krótko. Jest to może proces trudny do zrozumienia dla nas, ale kapłaństwo w obecnym wydaniu (celibat) jest jakby sprzeczne z kulturą Indian. Sprzeczne z ich sposobem myślenia. Bo wíem kultura i sposób myślenia Indian to coś całkiem innego niż kultura europejska i nasz sposób myślenia.

Nie da się tego wyjaśnić w kilku zdaniach. Sprawa Indian jest bardziej skomplikowana niż to się wydaje. Jedno jest pewne, że przy całym ich życiu zawierającym wiele zła, są to ludzie bardzo wartościowi. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, sprawiła, że zostali pozbawieni swego własnego stylu życia. Zgubili swoją drogę – zwłaszcza młode pokolenie – a nie przyjęli nowej z pełną odpowiedzialnością. Za ten stan rzeczy są odpowiedzialni biali, którzy ich kolonizowali, i którym wcale nie zależało na wykształconych tubylcach. Dlatego są tak nieufni i zamknięci w sobie. Gdy jednak pozyska się ich zaufanie, to stają się wielkimi przyjacielami. A gdy lepiej się przypatrzymy ich zwyczajom, to zauważamy, że wielu z nich jest po prostu wspaniałych. Duchowość Indian jest bardzo głęboka i trzeba umieć do niej dotrzeć i umieć ją dostrzec. Biali w miastach uważają, że In-

dianin to wykołajeniec z marginesu miejskiego. Nie mają pojęcia, że może istnieć inny Indianin. Oczywiście, są to moje własne refleksje na ten temat i można się z nimi nie zgadzać.

– *Czy biały ksiądz misjonarz ma także konflikty z białymi, jak jego podopieczni Indianie?*

– Czasami jestem przyczyną konfliktu z księdzem z miasta i białymi pielęgniarkami ze szpitala, ponieważ hospitalizowany Indianin często prosi o księdza – ale Indianiego. I tu odbywa się dyskusja z proboszczem, który usiłuje wytłumaczyć, że ksiądz z rezerwatu też jest biały. Ale Indianina to nie przekonuje, bo Indianie ksiądz to taki, który z nimi mieszka i to jest dla nich ważne.

Kiedyś zostałem wezwany do chorej do szpitala. Nie miałem czasu się przebrać i pojawiłem się w dżinsach. Pielęgniarka wyraziła się, że nie wyglądam na księdza. A wtedy stara 84-letnia Indianka powiedziała jej: „My wiemy, że on jest księdzem, on mieszka z nami i dla nas wcale nie musi się inaczej ubierać. Jest ważne, co robi, a nie co ma na sobie.”

Sądzę, że tych kilka drobnych informacji, choć trochę pomoże czytelnikom wyobrazić sobie ten piękny, choć dziwny Indianie świat, w którym mieszkam, a który jest tak odmienny od tego, co pisze się o nim w książkach.

Przedruk za: *Misjonarz w indyjskim świecie*. „Nowy dziennik” (USA), 5 listopada 1992 r.

NIE ZGADZAM SIĘ ...

Jestem uczestnikiem polskiego ruchu Indianistycznego od wielu dobrych lat, znam – jak sądzę – problematykę Indianie, wyuczony jestem na jej przekłamywanie. A ma on miejsce w różnych pismach, określanych jako prawicowe i lewicowe. Przykro, że pewne takie próby występują również na łamach ...Tawacina, a ma to miejsce w tekście Arkadiusza J. Kilanowskiego.

Pisze on w jesiennym (3/23 z 1993) numerze o Czarnej Sukni (czytając, zdziwiony byłem jakie emocje ten film i książka

wywołały). Chodzi o „dzieło misyjne”, którego Marek Maciołek – jak wnioskuję – jest zwolennikiem, a Arek nie. Nie w tym rzecz, chodzi jedynie o to, by krytykując cokolwiek, nie przeinaczać rzeczywistości.

Arek winą za wszelkie morderstwa obarcza chrześcijan, pod jednym pojęciem klasyfikując katolików i protestantów. Niby żadna różnica, ale...

Właśnie to „ale” jest tu najważniejsze. Albowiem słowa „dobry Indianin, to martwy Indianin” są autorstwa kogoś z PROTESTANCKICH generałów, masakrą nad Sand Creek dowodził PROTESTANCKI generał. Jeśli chodzi o jezuitów, to właśnie za poddawanie się PROTESTANCKIM wpływom religijnym zostali rozwiązani. Nie twierdzą automatycznie, że pod panowaniem katolickim Indianom wiodło się wspaniale. Uproszczenia, które stały się treścią artykułu Arkadiusza Kalinowskiego są jednak nie do przyjęcia.

Inną rzeczą, która wywołała u mnie zdziwienie (mam nadzieję, że nie tylko u mnie) jest ...zdziwienie Janka Rzątkowskiego, który w tym samym numerze Tawacina pisze o nietolerancji i nacjonalizmie Indianie. Może to, co napiszę wywoła sporo kontrowersji, lecz z całą świadomością uważam, że nacjonalizm w znakomity sposób ratuje ich kulturowe, religijne i polityczne dziedzictwo. Gdyby nie narodowi Mohawowie – nie byłoby wydarzeń w Kahnawake, gdyby nie nacjonalizm AIM, nie byłoby daty „Wounded Knee 1973” i wielu innych wydarzeń. Czy nacjonalizm Indianie – pytam się otwarcie – w takim przypadku to zła rzecz? Jesteśmy przecież oczarowani ich dumą, siłą, a oburzamy się, gdy w stosunku do nas są tacy sami. Osądzamy wszystkich Amerykanów winą za Indianie pogrom, a sami będąc białymi dziwnymi się, gdy tubylczy Amerykanie kryją przed nami swe najświętsze sekrety.

Kim w takim razie jesteśmy – przyjacielami Indian, czy kolejnymi „badaczami” ich kultur, chcącymi wyrywać im ostatnie tajemnice, ich Ducha i Moc i rzucać je w liberalną publikę?

Krzysztof Mysiołowski Mączkowski

ZNANI I NIEZNANI

NARÓD NEUTRALNY

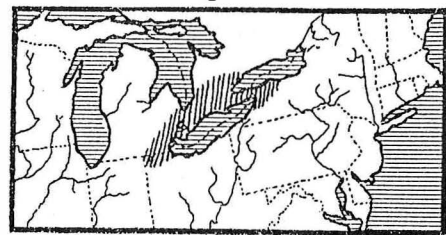
Nazwani tak przez Francuzów, ponieważ pozostawali neutralni podczas wojen pomiędzy Irokezami i Huronami. Zwali także:

Hatiwantarunh – przez Tuscarorów, co oznacza „Ich mowa jest opaczna”.

Attiwandaronk – częściej stosowana nazwa używana przez inne plemiona irokeskie.

Język: NEUTRALNI należą do irokeskiej grupy językowej.

Rozmieszczenie: Zamieszkiwali południową część kanadyjskiej prowincji Ontario, najdalej na zachód wysunięty skrawek stanu Nowy Jork, północno-wschodni obszar stanu Ohio i południowo-wschodnie tereny stanu Michigan.



Podział: Jedyny możliwy podział to podział według zamieszkiwanych wiosek, może z wyjątkiem grupy **Aondironon**, żyjącej w Ontario na terenach graniczących z terytorium Huronów i **Ongniaahra** (patrz niżej).

Wioski: Było ich aż dwadzieścia osiem, ale zachowały się tylko niektóre nazwy:

Kadoucha – położona w Ontario blisko kraju Huronów, w północnej części ich terytorium.

Khiotoa – prawdopodobnie niedaleko na wschód od Sandwich (Ontario).

Ongniaahra – prawdopodobnie na terenie dzisiejszego Youngstown (Nowy Jork).

Ounontisaston – niedaleko rzeki Niagara.

Teotongniaton – w Ontario.

Historia: krótko po klęsce Huronów, NEUTRALNI wplątani zostali w wojnę z Irokezami i w latach 1650-51 zostali wyniszczeni. Pozostali przy życiu NEUTRALNYCH wchłonęli zwycięzcy, chociaż w 1653 roku odnotowano samodzielną grupę zimuącą w pobliżu Detroit.

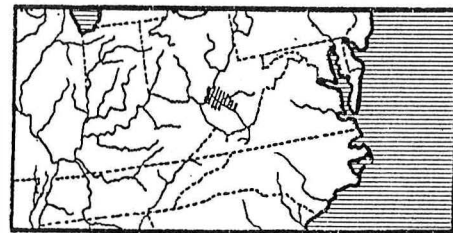
Liczebność: W 1928 roku James Mooney oszacował ich liczbę na dziesięć tysięcy w roku 1600. W 1653 pozostało ich zaledwie osiemset. Na koniec prawdopodobnie wchłonęli zostali przez Irokezów i Wyandotów.

MONETON

Nazwa znaczy „Ludzie Wielkiej Wody”.

Język: MONETON należeli do **sjuańskiej** rodziny językowej. Prawdopodobnie najbliższą spokrewnieni byli z Manahoac i Monacan z Virginii i z Ofo (Mosopelea) z Ohio i Missisipi.

Rozmieszczenie: Prawdopodobnie zamieszkiwali rejon nad dolnym biegiem rzeki Kanawha. Arthur Gabriel, sługa handlarza Abrahama Wooda nazywał ich główną osadę „Wielkie Miasto”.



Historia: Po raz pierwszy wspomniał o nich Thomas Batts w 1671 roku. Trzy lata później odwiedził ich Arthur Gabriel. W tym samym roku po raz ostatni słyszano o nich jako o niepodległym plemieniu. Prawdopodobnie zjednoczyli się z sjuańskimi ludami z okolic Piedmont w Virginii.

Liczebność: Nieznana.

miś

Wojna Czarnego Jastrzębia komentarz

Po opublikowaniu w poprzednim numerze materiału dotyczącego Lisów i Sauków, a także wojny Czarnego Jastrzębia, otrzymaliśmy obszerny list od Aleksandra Sudaka, naszego konsultanta historycznego i stałego współpracownika. Z uwagi na prawdę historyczną drukujemy jego komentarz w całości.

Lektura „Wojen Czarnego Jastrzębia” Custer juniora w ostatnim Tawacinie może przypisać o zawal. Prawie nie się tutaj nie zgadza, od początku do końca. Zaczniemy od plemion, które opowiadały się za Czarnym Jastrzębiem. Custer junior wymienia Sauków i Lisów, Kikapu, Winnebagów, Potawatomi i Odżibuejów i ocenia ich liczebność na „jakieś osiem tysięcy ludzi” (sami Sauków i Lisów około dwóch tysięcy), w tym około 1000-1500 wojowników. W rzeczywistości Czarny Jastrząb i czarownik Winnebagów (półkrwi Sauk) Biała Chmura (w omawianym tekście: Białe Obloki) stali na czele, liczącej ponad dwa tysiące ludzi, grupy zwanej Grupą Angielską (British Band), gdyż utrzymywała bliskie kontakty z Anglikami z Malden w Ontario. Jej członkami byli głównie Saukowie i Lisy oraz z różnych powodów nieprzyjacieli Amerykanom Indianie z wyżej wymienionych plemion, z których Kikapu oraz Saukowie i Winnebago z wioski Białej Chmury dostarczyli setkę wojowników. Tak więc Czarny Jastrząb miał nie więcej niż sześćset wojowników. Na wieść o jego zwycięstwie nad milicją majora I. Stillmana, 14 maja 1832 roku nad Sykomorowym Potokiem, niektórzy Kikapu, Winnebago i Potawatomi stanęli po jego stronie, ale nigdy w całej swej sile. Za przykład może posłużyć postawa Winnebagów: wielu z nich zamieszkałych na południe od rzeki Wisconsin poparło jego sprawę, czego nie uczynili ci, którzy żyli na północ od tej rzeki.

Działania wojenne toczyły się głównie w północnym Illinois i południowym Wisconsin, w miarę jak ludzie Czarnego Jastrzębia uchodzili przed armią amerykańską. Tego ogromnego już obszaru nie trzeba poszerzać o Iowa i Minnesotę, ani

jego granic opierać o jeziora Górne i Michigan. Szkoda, że artykuł Custer juniora nie jest uzupełniony mapką terenów objętych działaniami, gdyż ogromnie ułatwiłoby to czytelnikowi jego lekturę.

Teraz przyczyni się do przebiegu wojny Czarnego Jastrzębia. U jej podstaw tkwił traktat z 1804 roku, zawarty przez Williama H. Harrisona z Saukami i Lisami w St. Louis, mocą którego plemiona te zrzekły się rozległych obszarów na wschód od Missisipi w zachodnim Illinois i południowym Wisconsin. Czarny Jastrząb nigdy go nie uznał, choć podpisał przynajmniej jeden z trzech dalszych, potwierdzających go traktatów zawartych 13 maja 1816 w St. Louis, 3 września 1822 w forcie Armstrong i 19 sierpnia 1825 w Prairie du Chien. Traktat z 1804 gwarantował Indianom, że mogą pozostać na odstąpionych przez siebie ziemiach, dopóki rząd USA nie dokona ich pomiarów i nie sprzeda białym osadnikom. Spokój panował do 1830, kiedy w związku z napływem osadników na północne tereny Illinois, rząd zaczął wcielać w czyn postanowienia traktatu z 1804. Oznaczało to, że Saukowie i Lisy muszą wynieść się za Missisipi, co część pod Keokukiem uczyniła wcześniej, zakładając wioski nad rzeką Iowa. Nie uczyniła tego Angielska Grupa Czarnego Jastrzębia, który nie chciał rozstać się ze swą ukochaną wsią Saukenuk nad rzeką Skalistą (Rock River) przy jej ujściu do Missisipi. Choć agent Sauków i Lisów powiadamiał ich, że nie wolno im wiosną 1830 wracać do Saukenuk po corocznych zimowych łowach i choć nakłaniał ich do tego Keokuk, nie widzący szans oparcia się Amerykanom, Czarny Jastrząb odmówił utrzymując, że chce żyć w pokoju na własnej ziemi, z której nie da się wyrzucić. Utwierdzały go w tym rady czarownika Winnebagów, Białej Chmury, który w razie konfliktu obiecywał mu pomoc Winnebagów i Potawatomi, oraz jego zastępcy, wodza Neapope, który zapewniał, że mogą liczyć na Anglików z Kanady. Dlatego nie porzucił Saukenuk mimo namawiań Keokuka oraz wezwań gubernatora Illinois, Johna Reynoldsa oraz głównodowodzącego armii na tych terenach, generała Edmunda Gainesa. Ustał dopiero przed atakiem tysiąca czterystu milicjantów stanu Illinois i oddziału regularnego wojska, które 26 czerwca 1831

roku spalił Saukenuk i schronił się na drugim brzegu Missisipi. 30 czerwca 1831 on i dwudziestu ośmiu wodzów i wojowników zawarto na Wyspie Skalistej (Rock Island) układ z gubernatorem Reynoldsem i gen. Gainesem. W myśl jego postanowień Grupa Angielska miała podporządkować się wodzom przyjaznym Stanom Zjednoczonym, osłaść na zachód od Missisipi i przybywać na wschodni brzeg tylko za specjalnym zezwoleniem prezydenta USA lub gubernatora Illinois. Saukowie i Lisy mieli zerwać wszelkie więzi z Anglikami i uznać prawo Stanów Zjednoczonych do zbudowania dróg i garnizonów wojskowych w kraju Indian dla ochrony ludności pogranicza. W zamian rząd gwarantował im posiadanie ziemi na zachód od Missisipi.

Spokój nie trwał jednak długo. 31 lipca 1831 roku pogranicze wzburzyła wieść o wybitu przez Sauków i Lisów dwudziestu ośmiu bezbronných Menomini koło fortu Crawford. Wiele białych sądziło, że będą kolejnymi ofiarami i rząd natychmiast zażądał wydania sprawców. Indianie uznali to za wtrącanie się do ich wewnętrznych spraw i Czarny Jastrząb odmówił żądaniu. Urósł tym w oczach współplemieńców, a spadła popularność jego rywala, Keokuka. Wkrótce pojawił się Neapope z wieścią, że kanadyjscy Angliści staną przy swych czerwonoskórych braciach, zaś Biała Chmura doniósł, że Potawatomi, Odżibueje i Ottawa pomogą Saukom i Lisom i że Angliści obiecali przysłać broń, amunicję i żywność. Zwiedziony tymi obietnicami, Czarny Jastrząb rozpoczął przygotowania do powrotu do kraju, który niedawno zgodził się opuścić. 5 kwietnia (a nie 28 marca, jak podaje Custer Jr) 1832 roku wkroczył na terytorium Illinois poniżej ujścia rzeki Iowa do Missisipi. Nikt od razu przeciwko niemu nie ruszył, jak pisze Custer Jr. Wyznaczony na dowodzącego w polu gen. Henry Atkinson na czele dwustu dwudziestu sześciu żołnierzy z Jefferson Barracks, wzmocnionych załogą fortu Armstrong, postanowił zaczekać na milicję stanową. Przeprowadził także naradę z Keokukiem, wzmocnił obronę miejscowości Galena i Prairie du Chien, nakazał komendantowi fortu Crawford powstrzymać możliwe najazdy Siuksów i Menomini,

zaś wojskom z fortu Winnebago uważać na działania Menomini. Dwukrotnie też zaprosił Czarnego Jastrzębia na rokowania na Rock Island, wzywając go by nie słuchał tych, którzy obiecują mu angielską pomoc. Gdy ten odmówił, 9 maja rozpoczęto działania. Gen. Atkinson miał pod swymi rozkazami (prócz nielicznych żołnierzy armii regularnej) tysiąc śledmuset milicjantów pod gen. Samuelem Whitesidem oraz oddział rangersów pułkownika Henry'ego Dodge'a z Terytorium Michigan, którego Wisconsin stanowią wówczas część. Konnych ochotników Whiteside'a, za którymi poszło trzystu czterdziestu żołnierzy armii regularnej oraz pieszka milicja pod komendą płk. Zacharego Taylora, pchnął na wioskę Białej Chmury leżącą w górze Rzeki Skalistej, poza Saukenuk. Whiteside po spaleniu wsi czarownika, stanął obozem w miejscowości Dixon's Ferry, gdzie dowiedział się, że Czarny Jastrząb znajduje się blisko 30 mil przed nim. Tutaj zatrzymał się czekając na Atkinsona i zaopatrzenie. Przodem wysłał majora Isalaha Stillmana na czele dwustu siedemdziesięciu pięciu ludzi z zadaniem odszukania Indian. Ci spotkali się z nim 14 maja nad Sykomorowym Potokiem. Czarny Jastrząb widząc się w obliczu przeważającej siły wroga (zwiadowcy donieśli mu o blisko czterystu kawalerzystach znajdujących się osiem mil dalej) i nie spotkawszy posiłków obiecanych przez Winnebagów, Potawatomi i Anglików postanowił się poddać Atkinsonowi. Wysłał w tym celu do obozu Stillmana trzech parlamentarzystów z białą flagą, lecz niezdiscyplinowani ochotnicy wletrząc jakiś podstęp, zastrzelili jednego z nich, podobnie jak dwóch spośród pięciu zwiadowców, których wódz posłał w ślad za wysłańcami.

Czarny Jastrząb poprowadził wówczas do ataku czterdziestu wojowników, którzy zmusili pięciokrotnie silniejszy oddział Stillmana do panicznej ucieczki, zabijając dwunastu wrogów. Na wieść o tym, 20 maja 1832 roku czterdziestu Potawatomi dokonało nad Indianiskim Potokiem masakry piętnastu osadników, którzy schronili się w domu Williama Davisa, z którym toczyli spór o tamę, jaką postawił na tym potoku, a która zagrażała połowom Indian. Nie był

to więc żaden „pogrom Pottawatomicz w bitwie nad Indianą Potokiem dokonany przez gen. Atkinsona” – jak pisze Custer Jr. Za to pułkownik Dodge 16 czerwca na czele dwudziestu ludzi wybił do nogi siedemnastoosobowy oddział Indian w bitwie nad rzeką Pecatonica w południowo-zachodnim Wisconsinie. Czarny Jastrząb widząc, że nie może liczyć na żadnych sojuszników postanowił nie ryzykować kolejnej bitwy i w odwrocie szukać schronienia dla kobiet i dzieci. Zamierzał schronić się w górnym biegu rzeki Skalistej bądź w okolicy dzisiejszego Madison (dawniej Four Lakes). W ślad za nim ruszyła czterotysięczna armia składająca się z trzech konnych brygad ochotników pod generałami Alexandrem Poseym, Miltonem K. Alexandrem i Jamesem D. Henrym w sile trzech tysięcy ludzi, zaś resztę stanowiła regularna piechota i rangersi Dodge’a. Całością kierował oczywiście gen. Atkinson. Nigdy na jego miejsce nie skierowano generała nazwiskiem „Lewis Cassa”. Lewis Cass był w owym czasie ministrem wojny w gabinecie prezydenta Jacksona, więc nie mógł „spychać Indian w temple 20 km dziennie na terytorium dzisiejszego stanu Wisconsin”. Niezadowolony natomiast z postawy Atkinsona, powołał na jego miejsce generała Winfielda Scotta. Ten nie mógł jednak objąć dowództwa, gdyż w jego wojsku rozszalała się epidemia cholery, a kiedy ustała, wojna z Czarnym Jastrzęblem się skończyła i Atkinson zachował dowództwo do końca. 2 lipca wyruszył on za uchodzącymi Indianami, o których położeniu nikt nie pewnego nie wiedział. Zagubili się w puszczech między Jeziorem Koshkonong a rzeką Wisconsin. Ich sytuacja była rozpaczliwa. Czarnego Jastrzębia opuścili sprzymierzeni Winnebago, Kikapu i Potawatomi. Znajdując się z dala od jakichkolwiek osiedli cierpieli głód i wódz obawiał się okrzyku wiedząc o marszu Atkinsona. Postanowił więc przepłynąć się przez rzekę Wisconsin, potem przez Missisipi i pozostać tam na stałe. Pościg ochotników Henry’ego Dodge’a doszedł go przy przeprawie przez rzekę Wisconsin i doszło tutaj 21 lipca do bitwy, o której Custer Jr. pisze, że odbyła się w maju 1832 roku i skończyła się po-

gromem Indian. Ponieważ opisał tę bitwę uznając za typową dla całej kampanii, poświęcając jej niżej kilka słów.

Następnego dnia przed świtem, wysłany do obozu amerykańskiego Neapope poprosił w imieniu Czarnego Jastrzębia o swobodne odejście za Missisipi. Mówił o pokojowych zamiarach Indian i cierpieniach kobiet i dzieci. Niestety, przemawiał w języku Winnebagów, a w obozie białych nie było już zwładowców z tego plemienia. Biali nie zrozumieli przemówienia i podjęli pościg za Indianami. 1 sierpnia resztki Grupy Angielskiej (nie więcej niż pięćset osób) dotarły nad Missisipi blisko 2 mile poniżej ujścia rzeki Bad Axe. Przy jej przekraczaniu na skłębionych na miejscu trawach i czołnach ostrzelała ich kanonierka *Warrior* wracająca z wioski Wapashy, którego Słuksów Amerykanie skłonili do wyprawy przeciwko Saukom i Lisom. Indianie na widok kanonierki wywiesili białą flagę, lecz nie doszło do porozumienia i wywiązała się bitwa. Podczas wymiany ognia zginęło dwudziestu trzech Indian i po dwóch godzinach *Warrior* zawrócił do *Prairie du Chien* po paliwo. W nocy Czarny Jastrząb z garstką zwolenników uszedł na północ wzdłuż Missisipi, inni próbowali przepłynąć się przez rzekę, lecz większość czekała świtu. Wówczas, 2 sierpnia, doszli ich ochotnicy oraz regularne wojsko Atkinsona. Kiedy nadpłynął wracający z *Prairie du Chien* *Warrior*, bitwa z zagnanymi do rzeki Indianami skończyła się masakrą. Zginęło ich blisko sto pięćdziesiąt osób, trzydzieści dziewięć kobiet i dzieci trafiło do niewoli. Atkinson stracił sześciu zabitych i osiemnastu rannych. Blisko dwustu Sauków i Lisów przedostało się za Missisipi, lecz w tydzień później Słuksowie Wapashy w liczbie stu wojowników zabili sześćdziesięciu ośmiu spośród nich nad rzeką Red Cedar, nim zdążyli połączyć się z Keokukiem.

Tak się skończyła wojna Czarnego Jastrzębia. Toczyła się przez 15, a nie 5 tygodni, jak napisano w artykule „Lisy i Saukowie” poprzedzającym artykuł Custera Jr. Przyniosła ona śmierć blisko siedemdziesięciu żołnierzom i ochotnikom, choć nie wszyscy oni zginęli z rąk ludzi Czarnego Jastrzębia. Ellen Whitney, wybitny znawca tematu

oceniał straty Indian w tej wojnie na 442-592 osoby. Najwięcej strat ponieśli w bitwie nad rzeką Klepskiej Słektory (Bad Axe) i podczas ataku Słuksów. W świetle tych danych, cyfry i fakty (znakomita ich wielkość) przedstawione przez Custera Juniora brzmią zupełnie fantastycznie. Szkoda, że nie podał źródeł, z których korzystał.

Czarny Jastrząb w pełni zdawał sobie sprawę, że wydanie wojny białym przyniesie zagładę jego ludowi i myślał jedynie, że w oparciu o zdecydowaną pomoc sprzymierzonych plemion i wsparcie kanadyjskich Anglików utrzyma bez wojny tereny nad rzeką Skalistą i swe ukochane Saukeny. Wciągnięty do wojny przez fatalne, a niezawinione przez niego okoliczności, prowadził działania bojowe bez zarzutu. Nie wiem, co ma na myśli Custer Jr. pisząc, że „system Indian [dowodzenia - przyp. mój] zawodził tu całkowicie”. Jeśli nawet Czarny Jastrząb musiał każdą decyzję uzgadniać z „poszczególnymi wodzami” (nie było ich wcale tak dużo, nie mówiąc o tym, że Grupa Angielska nie stanowiła sobą plemienia jako takiego, o czym wspominałem wyżej) to nie potrzeba było „nakłaniać... ludzi do wykonania określonego działania”. Militarne, jak sądzę. Po prostu nie pozwalały na to warunki, gdyż wszystko działo się w obliczu idącego tuż za nimi wroga, a Czarny Jastrząb i Neapope podejmowali trafne decyzje. Indianom chodziło przede wszystkim o to, by oderwać się od wroga przy możliwie najmniejszych stratach własnych i zapewnić schronienie nie-kombatantom. Temu podporządkowana była ich taktyka, a za przykład niech posłuży bitwa na Wzniesieniach Wisconsin (Wisconsin Heights) czyli nad rzeką Wisconsin, przedstawiona przez Custera Jr. na 21 str. ostatniego **Tawacina**.

Indianie dościsnęli tutaj przez Amerykanów ostrzelali ich szeregi, ochraniając swe rodziny przepływające się przez rzekę na naprędcy skłębionych trawach i łodziach. Ochotnicy Henry’ego Dodge’a zeszli z koni i wyparli Indian w dół rzeki w wysokie trawy, lecz że nadchodziła noc i wojownicy prowadzili ogień ukryci za pasmem drzew wzdłuż rzeki, obaj dowódcy postanowili odłożyć dalsze działania do świtu. Tego właśnie oczekiwał Czarny Jastrząb.

W obliczu przeważających sił wroga (sama brygada gen. Jamesa D. Henry’ego liczyła tysiąc konnych ochotników) przepłynął się przez rzekę Wisconsin odnosząc tym taktyczne zwycięstwo, gdyż prawie nieprawdopodobieństwem było dla Indian przepłynąć się wraz z rodzinami. Gdyby Henry i Dodge następnego ranka ruszyli na niezmiernie znużonych Indian, mogliby ich otoczyć i skończyć wojnę. Pozwolili sobie jednak na dzień odpoczynku, co przeciwnik wykorzystał na ucieczkę. W bitwie na Wzniesieniach Wisconsin, bądź z ran odniesionych w niej zginęło sześćdziesięciu ośmiu Indian, jak zeznała później wzięta do niewoli squaw. Amerykanie mieli jednego (1) zabitego i ośmiu rannych. Nie wiem, skąd Custer Jr. wziął podane przez siebie liczby. Liczbę wojowników podał na 150 Winnebagów i 90-150 Sauków. Czarny Jastrząb w swej autobiografii podaje, że odwrót Indian osłaniał Neapope z dwudziestoma wojownikami, a on sam przeprowadził kontratak na czele pięćdziesięciu wojowników. Reszta (myślę, że mogło ich być koło setki) osłaniała kobiety i dzieci.

Custer Jr. główną rolę w tej bitwie przypisuje Białej Chmurze (Białemu Obłokowi), a o tym, by dowodził, nie wspomina ani Czarny Jastrząb, ani żadne znane mi źródło. W bitwie tej nie brała udziału rytualia, a morale Amerykanów było bardzo wysokie, gdyż ochotnikom zależało na jak najszybszym skończeniu z Czarnym Jastrzęblem, kiedy już wreszcie trafił na jego ślad. Dalej Custer Jr. ma za złe Indianom, że nie zniszczyli kolumny Dodge’a, winiąc za to sztukę wojenną Indian i ich sposób pojmowania wojny, kiedy to „po przegranej bitwie należało odprawić ceremonie rytualne, pogadać z duchami, a dopiero potem pomyśleć, co dalej...”, a „wystarczyło zaledwie uwiesić się przy tej kolumnie i nękać nieustannie, aby po pewnym czasie rozbić ją lub zmusić do odwrotu”. Po pierwsze: podczas wojny 1832 nikt nie odprawiał ceremonii rytualnych, ani nie gadał z duchami, gdyż po prostu nie było na to czasu. Indianie są głęboko religijnymi ludźmi, ale jednocześnie realistami, (twardo trzymającymi się ziemi. Po drugie: ich celem podczas tej kampanii nie było rozbić kolumn nieprzyjacielskich (bo i co by im z tego

przyszło na dłuższą metę), ale powstrzymanie ich i danie czasu bliskim na schronienie się w bezpiecznym miejscu, o czym już kilka razy wspominałem. Robili to nader skutecznie i nie muszą się wstydzić swej sztuki wojennej.

Jeszcze dwa słowa odnośnie tego, co napisano w artykule „Lisy i Saukowle”. Siu-ksowie darzyli Sauków takim sentymentem jak Szkoci Anglików czy Polacy Rosjan, więc jak można tu mówić o „bratobójczej” walce, do której namawiali ich Amerykanie. Czarny Jastrząb wcale nie brał udziału w walce z ludźmi Wapashy, a Winnebagowie z włoski Jednookiego Dekaury’ego wcale go nie wydali białym, gdyż sam Czarny Jastrząb prosił ich o pośrednictwo w rozmowach z przedstawicielami rządu. Inna sprawa, że Dekaury bezczelnie oświadczył Amerykanom, że pojmał Czarnego Jastrzębia, żeby wydać go białym. I na koniec: Czarnego Jastrzębia nikt nie „zamknął” w klatce ni-

czym dzikie zwierzę” i nie obwoził po kraju. Bóg jeden wie, skąd się wzięła ta kretyńska plotka. Rząd USA nie naśladował Tamerlana, który sułtana Bajazeda, po odniesionym zwycięstwie, wystawił w żelaznej klatce na pośmiewisko gawiedzi. Czarny Jastrząb odbył coś w rodzaju triumfalnej podróży, spotykając się z sympatią mieszkańców największych miast Ameryki – Filadelfii, Baltimore i Nowego Jorku. Tylko w Albany motłoch obrzucił jego grupę kamieniami.

Wszystko to pisałem na podstawie następujących źródeł: *The Sword of the Republic* księdza profesora Francisca P. Pruchy, *Black Hawk: An Autobiography* wydanej przez nieżyjącego już prof. Donalda Jacksona oraz *Black Hawk: Warrior's Path* prof. Rogera L. Nicholasa.

Aleksander Sudak

Między 22 czerwca a 7 lipca tego roku odbył się Bieg Przyjaźni Narodów '94, zorganizowany wspólnie przez przyjaciół Indian z Polski, Niemiec, Czech i Słowacji.

Organizatorami imprezy byli: ze strony polskiej, Jacek Gawroński z Piły, ze strony niemieckiej Berndt Damisch, natomiast ze strony czeskiej i słowackiej – Wiera Stupakowa. Wszyscy są członkami krajowych Stowarzyszeń Przyjaciół Indian – organizacji, które w propagowaniu kultury Indian, ich wartości i tradycji, widzą szansę dla Ziemi, na której mogą żyć ludzie w zgodzie z naturą.

W Biegu wzięło udział około czterdziestu biegaczy, nie tylko z wymienionych krajów. Najmłodszym uczestnikiem była sześciolatnia Marta Kabat z Chodzieży, która pod opieką rodziców pokonywała codziennie co najmniej jednokilometrowy odcinek.

Cała trasa, długości 1524 km wiodła przez Polskę, Niemcy, Czechy i Słowację. Swoją początek miała w Koszalinie, gdzie 22 czerwca o godz. 16 odbył się symboliczny start – przeniesienie pałeczki sztafetowej z Rynku Staromiejskiego do granic miasta. Z Koszalina trasa prowadziła przez Piłę i Gorzów aż do Kostrzyna.

Po drodze, w okolicach Starego Polichna, do Biegu dołączył pan Zbigniew Petri, członek Gorzowskiego Klubu Biegacza i uczestnik niedawnego maratonu do Monte Cassino.

Sztafeta pokonywała dziennie sto kilkadziesiąt kilometrów, a każdy z biegaczy miał w niej udział na miarę swoich możliwości. Wydarzeniem Biegu było przybycie 1 lipca do miejscowości Volary na terenie Czech Indianina z plemienia Czarnych Stóp – Richarda Skyhawk z Montany, uczestnika wielu biegów Indianistów na świecie i organizatora przyszłorocznego biegu do Tybetu. Indiańskie obrzędy, jakie towarzyszyły biegaczom – gra na instrumentach, śpiewy, ceremonia spalania ziół – nabrały od tego momentu innego posmaku. Ich kulminacją był oczyszczający obrzęd szalasu potu.

Na całej trasie witano biegaczy oficjalnymi wystąpieniami przedstawicieli lokalnych władz, organizowano imprezy towarzyszące, wielokrotnie było radio i telewizja. Bieg zakończono w Białymostku na Słowacji.

Wielu jego uczestników spotka się w przyszłym roku na liczącej ponad 7 tysięcy km trasie biegu do Tybetu; biegu, któremu będą przyświecały takie same idee jak imprezie tegorocznej: przyjaźń, zrozumienie, tolerancja, dbałość o środowisko, troska o naszą przyszłość. Wszystko to rodzi się we wspólnym wysiłku, wspólnym obcowaniu.

Wśród wielu imprez, którym przyświecają takie same cele, międzynarodowy bieg oparty na tradycji amerykańskich Indian powinien znaleźć należne mu miejsce.

Emi

GOOD MORNING RUNNERS!

BIEG PRZYJAŹNI NARODÓW
LAUF FÜR VÖLKERVERSTÄNDIGUNG
BĚH SBLIŽENÍ
BĚH ZBLIŽENIA
PEOPLES RELATION RUN

Ponoć zaczęło się już w Koszalinie. Na kilka dni przed początkiem Biegu Przyjaźni Narodów do Lubiatowa, centrum Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian, zjechali się Niemcy i Słowacy. Czesi się nie pojawili, a Polacy już tam byli, postarali się, by goście mieli nocleg i wyżywienie, zaś by się nie nudzili – zorganizowali im noc Kupali, starosłowiańskie święto zrównania dnia z nocą, a biegaczom w dniu startu zapewniono niezaplanowane zwiedzanie miasta. Udało im się wybiec z niego dopiero następnego dnia, gdzie po wielu trudach dotarli w końcu do Piły. Tam dopiero dołączyłem do Biegu, a raczej do wystawnego posiłku w pińskiej restauracji, gdzie jako pierwszy dotarł koordynator Biegu na Polskę, Jacek Gawroński. Po nim zjawili się wielu innych biegaczy. Po przywitaniu się z Berndem Damischem, głównym organizatorem Biegu i większością biegaczy zjedliśmy co było i długą kolumną rusziliśmy do miejsca noclegu, zabierając ze sobą kilka skrzynek nie lubianej przez obcokrajowców coca-coli, którą część wypiliśmy, część nam ukradli, a część musieliśmy oddać z powrotem.

Zawsze wieczorem odbywały się narady dla kierowców, gdzie ustalano, kto, ile, kiedy, gdzie i w jakiej kolejności pojedzie. Zawsze rano odbywał się krąg, tzw. cyrkiel, na którym musieli być wszyscy odczytywano wieczorne ustalenia, życzone sobie i innym powodzenia, żegnano odchodzących i witano przybyłych.

Tym razem przystanek docelowy to Gorzów. Trasę podzielono na dwie równe połowy (jak się później dowiedzieliśmy, co do metra). Każdą połowę przebiegali wszyscy, podzieleni na dwie grupy, z których każda biegła równocześnie, a staff niosła tylko jedna. Później wszyscy jechali na drugą połowę trasy, grupy zamieniały się miejscami i staffem i biegiły ponownie. Może to

trochę skomplikowane, ale szybko się przyzwyczailiśmy. Pierwsze siedem kilometrów przypadło na green car, czyli na zieloną skodę Marka Kabata, a że w niej była również Ania, Agnieszka i ja oraz mała, ale dzielna Marta – rozdzieliliśmy to na wszystkich. Pokonaliśmy ten odcinek trasy z niewielkim trudem i ruszyliśmy na drugą połowę. Dopiero teraz okazało się jak mało ważne jest miejsce spotkania, że ważniejsze są wskazania licznika (to nie, że w każdym samochodzie inne). Wyznając jednak zasadę, że bleganie jest tu najważniejsze, poza swoimi jedenastoma kilometrami przebiegliśmy dodatkowo zagubione dwa.

Właściwie na trasie nic szczególnego się nie dzieje. Dopiero wieczorami, kiedy wszyscy zaczynają dzielić się swoimi wrażeniami, dowiadujemy się, że blue van ciągle gubi biegaczy, że liczniki nigdy się nie zgadzają, że ciągle nad biegaczami krążą jastrzębie, że ponad sześćdziesięcioletni dziadek dołączył po drodze do Biegu i biegał non stop aż do Gorzowa (ok. 40 km).

Po posiłku znowu narada, znowu ustalenia i tak każdego dnia. Rano cyrkiel i przywitanie Ani ze Sztumu, nowego biegacza. I znowu na trasie, znowu w biegu. Tym razem do granicy polsko-niemieckiej, gdzie pożegnaliśmy nie blegających dalej polskich biegaczy, Anię z Piły, Bogię i Jacka Gawrona, naszego koordynatora. Został nim teraz Roinek Bala. Przez granicę przeszliśmy bez problemów. Dołączyło także paru nowych biegaczy. W niedługim czasie dotarliśmy do Seelow, gdzie przywitały nas władze miasta i w dość ciekawy sposób poznaliśmy wojenną historię tego miejsca.

Wieczorem dotarliśmy do Furstentwale, do obozu tamtejszych Indianistów, którzy przywitani nas obfitym posiłkiem i zaprosili specjalnie dla nas folkowy zespół, przy którym świetnie się bawiliśmy. Nocą przy ognisku, w niesamowity sposób rozbitym tipi i przy indiańskiej muzyce próbowaliśmy się zintegrować. Z Niemcami nie było problemu, ze Słowakami, mimo podobnego języka (poza szukaniem wody do picia) było to nieco utrudnione ze względu na ich wieczną melancholijność i ospałość.

Po całonocnym odpoczynku Bleg ruszył dalej. Przybyło kilku nowych biegaczy, Angle i Andreas. Nadal nikt nie potrafił obliczyć dokładnie kilometrów. Po przebiegnięciu określonego dystansu, do miejsca noclegu pozostaje trzydzieści kilometrów; trzeba to przebiec. Blue van zaginęła. Znowu mnóstwo jastrzębi. Nocleg w Grimmie w indiańskim obozie rozbiłym na dnie pięknego wąwozu. Następnego dnia wyruszyliśmy do Triptis. Krótka trasa, a więc dużo wolnego czasu. Na miejscu czekają na nas tipi, wspaniały staw i wspaniały posiłek, a wszystko to dzięki równie wspaniałym ludziom. Przy pomocy miejscowych Indianistów udało nam się zrobić szalą parę. Jutro przekraczamy granicę niemiecko-czeską.

O świcie budził nas jak zwykle głos bębna. *Good morning runners*. Dołączają do nas nowi ludzie, inni odchodzą. Na granicy burza, leje deszcz. Po wielu objazdach i trudach odnajdywania drogi docieramy do Chylic. Nikt na nas nie czeka. Dzięki miejscowym trafiamy na indiański tabor. Odpoczynek, posiłek, kąpiel w rzece. Napoje musieliśmy sobie kupić. W nocy między-narodowa integracja w słowackim tipi. Opowiadanie kawałów, tłumaczonych na polski, angielski i niemiecki; Słowacy śpią.

Dzień wolny. Rozstajemy się z Angle i Andreasem, witamy czeskich biegaczy. Czterech z nich przyjechało trabantem. Świetni ludzie, świetny trabant.

Ruszamy do Volar. Ponoć ma tam być Sky Hawk, Indianin, szaman z plemienia Czarnych Stóp. Zobaczymy. Trabant ma wypadek, wgniotło mu tylny zderzak do środka. Ale jedź dalej. Przestały pojawiać się jastrzębie, chyba za wysoko. Wieczorem w Volarach spotykamy Sky Hawka. Bawimy się prawie do rana. Śpiemy krótko, bo okrzyk *Good morning runners* nie pozwala nam spać dłużej.

Dzisiaj biegliśmy do miejscowości J. Hradec. Ekstra widoki. Niesamowicie gorąco. Brak tchu nie pozwala długo biec. Korzystamy prawie z każdej wody po drodze. Zwiedzamy zamek z wystawą malarstwa, musieli wyrobów z masy perłowej.

Następnego dnia biegliśmy do Ivancic. Żar z nieba się leje. Do miasta wprowadza nas policja. Witają nas władze miasta. Następny dzień mamy wolny, więc Sky Hawk robi szalą parę, który – jak mówił – snił mu się od dłuższego czasu. Korzystamy też z miejscowych kanu i kajaków. Niektórzy zwiedzają okoliczne zamki, a niektórzy, tak jak Marta z Białegostoku muszą wracać do domu. Stęskniliśmy się jednak za biegiem. Nie sprawia nam to już tak wielkiego kłopotu jak na początku. Tak jak na początku się wypychaliśmy, tak teraz sobie odbieramy kilometry.

Dzisiaj przekraczamy granicę czesko-słowacką. Słowacy mówią, że to tego czasu były pagórki, że dopiero u nich będą góry. Na granicy żegnamy trabanta. Lecą łyzy. Szkoda, że nie mogą jechać dalej. Od granicy do obozu w Czerwonym Kamieniu leje deszcz, biegają już tylko Słowacy. Nocujemy w szkole. Jest tam małe muzeum miejscowego folkloru. Zresztą cała miejscowość jest dla jak muzeum. Na obiad soczewica i woda z sokiem. Rano opuszczamy to miejsce. Czekają nas ostatni, najtrudniejszy etap. W duchu modlimy się, aby przypadło nam z górki. Niestety, osiem kilometrów pod górę. Strasznie gorąco, brak tchu. Często się więc zmieniamy. Na szczęście, jakby na deser, przypada nam dwa kilometry z górki. Docieramy w końcu do Blatnicy, witani dosłownie chlebem i solą. Spożywamy go przy akompaniamencie miejscowego chóru.

Nikt nie chce uwierzyć, że to koniec. Ale wieczorem robimy krąg w tiotipi. Zapominamy o przykrych zdarzeniach na biegu i mówimy tylko o tym, co było najlepsze, co nam się podobało.

Baliśmy się jutrzejszego dnia, nikt nie chciał się rozstać. Umawianie się na następne biegi, następne spotkania, wymiana adresu, uściski, łyzy i odjazd. Odjechał Bernd białym vanem, Limona red carem, Simona citroenem, Ania i Marek green carem, Ralf red vanem, a Manuela blue vanem. Odjechali także inni ludzie innymi samochodami. W końcu pojechał Bernard, zabierając jednak wszystkich uczestników Biegu na masce swego volkswagena.

Miś



Indianie nie umrą, bo Indianie to my!

Od dłuższego czasu interesuję się kulturą Indian Ameryki Północnej. Jestem zwolennikiem Ruchu Przyjaciół Indian w Polsce. Zbieram wszystko, co dotyczy Indian, nagrywam filmy, czasem ubieram się na sposób indiański: spodnie z frędzlami i wyszywaną bluzę. Już od dawna marzę o tym, by należeć do Ruchu. Chciałbym też poznać Sat Okha czyli Stanisława Sułtawicza i jego przyjaciół.

Maciek z Olsztyna

Miłości do Indian

uczę się od bardzo dawna i ciągle doskonalam tę sztukę. Najbardziej cenię ich pierwotność. Biorę to, co jest potrzebne do mojego życia, z tej ich pierwotności. Mieszkając w takim prowincjonalnym miasteczku, nie mam niestety możliwości pogłębiania swej miłości i wiedzy o Indianach. Dlatego, gdy przeczytałam w gazecie o zespolu „Żółwie” i Towarzystwie Przyjaciół Indian, ogarnęło mnie niesamowite uczucie i skrobię właśnie ten list.

Anna z Morąga

Co robić?

Ciekawi mnie czym właściwie zajmują się polscy przyjaciele Indian, bo pogłębianie wiedzy teoretycznej chyba nie jest wszystkim, co można obecnie robić. Interesuje mnie każda forma działalności, chętnie coś zrobię, w czymś pomogę.

Dziękuję za przysłanie mi **Tawacinu**. Pismo bardzo mi się spodobało, chociaż wiele zawartych w nim artykułów przerażało mnie. Wszędzie obserwuję zmagania człowieka z naturą. Człowiek chce od Matki Ziemi wszystkiego na raz: chce aby go karmiła i dawała czystą wodę, a jednocześnie była jego prywatnym śmietnikiem. Teraz dostrzegam też, co człowiek robi człowiekowi. Na świecie panuje pozorny pokój,

a tymczasem narody niszczą narody. Artykuł pt. *Czarne Stopy i czarna muzyka* uświadomił mi, jak łatwo zapomnieć o własnej tożsamości i wtopić się w tłum. Indianie tak długo walczyli o zachowanie i poszanowanie swych praw i kultury, że chyba nie zaniechają tej walki w ciągu kilku najbliższych lat, ani nigdy. Taką mam nadzieję.

Karolina z Warszawy

Chcę korespondować...

List, który właśnie czytacie, skierowany jest głównie do ludzi z Wrocławia i okolic, jeżeli jednak ktoś chciałby abym skierował go i do niego, nie widzę żadnych przeszkód.

Wszyscy jesteśmy dziećmi Matki Ziemi, zbieramy na niej owoce różnego rodzaju, będąc często przekonani, że wszystko już zrobiliśmy, choć może czasem coś tam nas wewnętrznie dręczy. Gdyby ziemia umiała mówić ludzkim głosem, zapewne usłyszełibyśmy słowa przepełnione bólem i goryczą. Czy kiedyś coś daliśmy ziemi? Czy ona może na nas liczyć?

Chciałbym zebrać tych, którym sprawy naszej planety nie są obojętne. Drzemlą w nas wielkie wartości, które każdy powinien rozwijać poprzez pracę nad sobą. Zaczyna się jednak od rzeczy małych, dochodząc do coraz większych. Nasze życie nabierze wtedy pełni kolorów, a nasza szlachetna postawa, godna będzie naśladowania. Nie będziemy już się „bawić” w Indian, bo sposób naszego życia będzie prawdziwie indiański. Nauczmy się w inny sposób postrzegać świat i życie, które nas otacza. Nauczmy się żyć w harmonii z naturą i światem, aby dawny Duch Indian odrodził się na nowo w białym człowieku z indiańskim sercem. Ho!

Jeżeli znajdą się pomiędzy wami osoby, które poważnie chcą potraktować poruszone przeze mnie sprawy, proszę o kontakt pod adresem:

JAROSŁAW RETKIN
UL. NOWOWIEJSKA 17/4
50-314 WROCŁAW

LITERATURA PIĘKNA

Tylkoziemia przetrwa... Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. Wybór i oprac. Leszek Michalik. SOK Sztum 1992, cena 34.000,-
 Brian Moore: *Czarna Suknia*. [powieść] Graffiti. Kraków 1992, cena 36.000,-
 Thomas Berger: *Mały Wielki Człowiek*. [powieść] Wyd. Wojciech Pogonowski. Warszawa 1991, c. 43.000,-

ANTROPOLOGIA

Ewa Nowicka: *Świat człowieka, świat kultury*. PWN. Warszawa 1992, cena 72.000,-

RĘKODZIEŁO

Wiesław K. Niedźwiadek: *Indiańskie techniki zdobienia koralikami*. [jak wyszywać koralikami, wzory i przykłady] Tipi, Wielichowo 1992, cena 22.000,-

HISTORIA

Jan Szczepański: *Dopóki trawa rośnie, dopóki rzeki płyną. Dzieje plemienia Czejenów 1835-1880*. Warszawa 1990, cena 28.000,-
 Izabella Rusinowa: *Indianie, traperzy i osadnicy w dziejach amerykańskiego Zachodu*. Warszawa 1990, cena 31.000,-
 Ameryka Indiańska. *Spotkanie dwóch światów*. (Katalog wystawy) Praca zbiorowa pod red. Janusza Jaskulskiego. Poznań 1992, cena 53.000,-
 Bartolome de Las Casas: *Krótki relacja o wyniszczeniu Indian*. "W drodze" Poznań 1988, cena 29.000,-
 W DRODZE nr 11 z 1992, miesięcznik o.o. dominikanów poświęcony rocznicy 500-lecia ewangelizacji Ameryki, cena 20.000,-
 Michał J. Rozbicki: *Narodziny narodu. Historia Stanów Zjednoczonych do 1861 roku*. Wyd. Interim, Warszawa 1991, cena 56.00
 Maria Paradowska: *Wśród Indian i Metysów*. Ossolineum. Wrocław 1989, cena 29.000,- Antologia relacji polskich podróżników o tubylczych mieszkańcach Meksyku i Ameryki Środkowej.
 Auguste Guinnard: *Trzy lata w niewoli u Patagonów*. Wyd. Literackie. Kraków 1988, cena 16.000,- Relacja z trzyletniego (1856-1859) pobytu w niewoli u Indian Patagonii.
 Franz Braumann: *Wśród Indian Guarani. Antonius Sepp von Rainegg 1655-1733*. Wyd. VERBINUM. Warszawa 1989, cena 20.000,-

Maciej Zimiński: *Legenda w indiańskim pióropuszu*. Wyd. Spółdzielcze. Warszawa 1991, cena 23.000,- Autor przedstawia sylwetki kilku sławnych postaci (Joseph Brant, Sitting Bull, Tecumseh, Sekwoja, Geronimo, a także Sat Okh i Karol May), podając wiele ciekawych faktów i ukazując jednocześnie jak ci ludzie wpływali na tworzenie się legendy o zdobywaniu Ameryki. Sporo fotografii, także kolorowych.

SZAMANIZM

Carlos Castaneda: *Nauki don Juana*. Wyd. Literackie. Kraków 1991, cena 37.000,-
 Nevill Drury: *Szamanizm*. Wyd. Rebis. Poznań 1994, cena 45.000,- Czym jest, gdzie się narodził, jak się rozprzestrzenił i jakie przechodził ewolucje. Indiańscy medicine men: Czarny Łoś, Brooke Lezczący Orzeł, Słoneczny Niedźwiedź. Castaneda i Andrews – szamani czy szarlatani?

POCZTÓWKI SŁYNNYCH INDIAN

Nr 8 **Low Dog** (Ogłala)
 Nr 11 **Chief Joseph** (Nez Perce)
 Nr 15 **Lone Wolf** (Kiowa)
 Nr 16 **Kicking Bird** (Kiowa)
 Nr 21 **Wolf Robe** (Cheyenne)
 Nr 26 **Guanah** (Comanche)
 Nr 29 **Rain in the Face** (Hunkpapa)
 Nr 36 **Sitting Bull** (Hunkpapa)

Cena 1 szt. (tylko jednej) – 7.000. Od 2 szt. – 5.000.
 Komplet szt. (po jednej z każdego rodzaju) kosztuje 8 x 4.000 = 32.000. Przy zakupie 5 i więcej szt. tego samego rodzaju – 3.000.

Pokrywamy koszty przesyłki pocztowej. Prosimy o przedpłatę przekazem lub na konto:

TIPI, Marek Maciołek
 ul. Łąkowa 3
 64-050 Wielichowo
 GBW-BS w Wielichowie
 Rk 963549-56531-136

Ze względu na termin dostarczania wpłat przez bank, realizacją zamówień może trwać do 3-4 tygodni. Aby to przyspieszyć można przesłać zamówienie listem dołączając kopię przekazu.

UWAGA:

Największe w Polsce pismo ekologiczne

ZIELONE BRYGADY

zmieniło adres!
 Oto nowy:

Wydawnictwo „ZIELONE BRYGADY”
 ul. Sławkowska 12/24 (IVp.)
 31-014 Kraków
 tel. 12/222-147 w. 15
 fax 12/222-264
 E-mail: zielbryg @gn.apc.org.

Konto:
 Bank Ochrony Środowiska SA O/Kraków
 FWIE - „Zielone Brygady”
 nr 630106-105428-132-3

WARUNKI PRENUMERATY

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena jednego numeru w prenumeracie wynosi 15.000 zł (razem z wysyłką). Prenumerata roczna wynosi 60.000 zł.

Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Udzielone bonifikaty powodują wówczas obniżenie ceny do:

ilość egzemplarzy	cena 1 egz. w złotych	cena prenumeraty 1 egz. w 1994 r.
1	15.000	60.000
2-4	14.000	56.000
5-9	13.000	52.000
od 10	12.000	48.000

Wpłaty należy kierować na konto:

MAREK MACIOŁEK, TIPI
 UL. ŁĄKOWA 3
 64-050 WIELICHOWO
 GBW-BS w WIELICHOWIE
 RK NR 963549-56531-136

Prosimy dokładnie i czytelnie podawać swój adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.

NIE PRZESYLAĆ PIENIĘDZY W LISTACH!

